

Cena numeru pojedynczego 30 groszy. Prenumerata krajowa kwartalnie 1-80 zł półrocznie 3-60 zł rocznie 6-— zł Prenumerata zagran. kwartalnie 40 półr. 80 centów am. Konto P. K. O.: Kraków Nr 406.000 Warszawa Nr 153.210	GAZETA LITERACKA Dwutygodnik	Adres redakcji i administracji: Kraków ul. Zybkiewiczza L. 5/7, m. 55. Godziny urzędowe codziennie od 1—3 — Oddz. w Warszawie: ul. Szpitalna 1, m. 3 Telefon 295-67. Oddział we Lwowie: ulica Kordeckiego 19 I. piętro.
Nr 6.	Warszawa — Kraków — Lwów — 15 kwietnia 1926 r.	Rok I.

ANTYKWARJAT DOGMATÓW

Dnia 15 kwietnia siedmdziesiąt siedm lat temu pisał Adam Mickiewicz w „Trybunie ludów“ następujące słowa: „Stare społeczeństwo czuje się zaatakowanym ze wszystkich stron. Czego mu brak, to zaiste nie prokuratorów, ani żandarmów. Rozporządza ono większym zasobem sił brutalnych, niż ich kiedykolwiek miało cesarstwo rzymskie i niż ich ma cesarstwo rosyjskie. Czego mu brak, to podstawy moralnej, przekonania idei.“

To oskarżenie społeczeństwa francuskiego, współczesnego Mickiewiczowi, mutatis mutandis możnaby odnieść i do dzisiejszych stosunków, do współczesnych europejskich społeczeństw.

Stęchła woń starzyny daje się i u nas w Polsce odczuwać. Życie polityczne wydaje się być częściowo powtórką historycznych błędów, niemal cała dziedzina życia kulturalnego — kultem zdezonizowanych przez rzeczywistość bogów. Wiele spotykamy anachronizmów i pozwalamy sobie dojrzać zaledwie do tych hasel i prądów myślowych, które od pół wieku, a często i wcześniej były aktualne. Dla pewnej części narodu są dziś praktycznym ideałem politycznym, hasła konstytucji 3-go maja: „Wiwat król, wiwat naród, wiwat wszystkie stany“, a „Pan Tadeusz“ stanowi dla zascianków i narodowych kaznodziejów ideowy katechizm. Uparliśmy się gwałtownie aktualizować przeszłość, nie bacząc na to, czy nie składa się ona z elementów nienaruszalnych przez ząb czasu. W jasnym dniu świecimy w muzeach świeczki i wołamy: „Stań się światłości!“

Wspominamy dawne dobre czasy mesjanizmu i domagamy się od twórców, by Polska była nadal jedyną osią ich twórczości..

Ale ta Polska, którą, jako dogmat narzuca się twórczości, ma być antykiem i relikwiarzem pogrzebowych i spróchniałych świętości. Zapomina się o tem, że świętą rzeczą jest tylko to, co zawsze może się legitymować prawem do życia. Jako ideału sztuki oczekuje się współczesnego i lepszego opracowania „Kościuszki pod Racławicami“ i narzeka się na twórców, że za mało piszą o Polsce.

Dziwna pozornie rzecz: zmartwychwstała Polska nie znalazła ani jednego pieśniarza triumfalnej rezurekcji. A przecież to proste: dla minionych pokoleń, Polska to była „wielka rzecz“,

w tem znaczeniu, jak wielką rzeczą jest własny dom dla bezdomnego, ale dla współczesnych Polska z konieczności stała się rzeczą powszednią i jest kompleksem warunków ekonomicznych i politycznych.

Jeżeli zaś we własny dom patrzy się jak w monstrancję, zapominając o tem, że dom jest tylko po to, by w nim mieszkać, to nic dziwnego, że konserwuje się z pietyzmem nietylko mające pewną wartość antyki, czy portrety, ale i próchno i szpary, a nawet swojskie robactwo, zamiast urządzać sobie wygodne pomieszkanie. To trudno: zapatrzeni wstecz nie mogą iść naprzód!

Boimy się odrzucać łachmany przeszłości, bo kaznodzieje grożą palcem: „Świętości szargać nie wolno!“

Walczącym o nowe spojrzenie na współczesną Polskę zakleja się usta dogmatem i cenzurą publiczną, a na współzawodników polskich w światowych wyścigach na arenie postępu wysuwa się ludzi o żółtawej chyżości.

Wszystkich innych czeka inkwizycja za obrazoburstwo i negację rzekomych pozytywnych wartości.

Zarzuty roboty destrukcyjnej jest tu najczęściej używanym. A właśnie, jak pisał Mickiewicz, to „umierające społeczeństwo“, które „czepia się dogmatu i pewnika, ono to właśnie niczego nie przyjmuje i wszystkiemu przeczy; ono właśnie jest przyczyną.“

Tym, którzy pragną zabić każdą śmiejszą myśl, każde nowe pragnienia i namiętności, niechże będą odpowiedzią słowa Mickiewicza:

„Pragnienia i namiętności nie są nigdy przeczące; pragnienia i namiętności są potwierdzeniami duszy, jak zagadnienia są potwierdzeniami umysłu. Dogmat jest potwierdzeniem duszy w przeszłości, pewnik jest potwierdzeniem umysłu — również w przeszłości. Zagadnienia i pragnienia są potwierdzeniami umysłu i duszy, które dążą ku przyszłości. Społeczeństwo w grób się pogrąża w dogmatach i pewnikach, odradza się w pragnieniach i zagadnieniach.“ Zastygające w bezwładzie społeczeństwo chce zrobić hymn bojowy z deklamacji: „Piramidy, czy wy macie takie trumny, sarkofagi.“

Uprzejmość nakazywałaby polecić najbliższy zakład pogrzebowy.

LEON KRUCZKOWSKI

W PIERWSZYM SZEREGU

1. Głębokie, rewolucyjne przemiany w literaturze rozgrywają się nieodmiennie: na ostrzu noża, przyłożonego do gardła epoki. Należy to powiedzieć mocno i dobitnie! Wówczas dopiero, zahukane dzisiaj „Być, albo nie być“ literatury — może zostać ujrzanem we właściwym, jaskrawym świetle. Zdaje się nie ulegać wątpliwości, że kolor tego światła jest raczej krwawo-czerwony, niż jakikolwiek inny.

2. Gorzka, zaprawdę, gorzka jest дума, z jaką powiedzieć możemy — my, młodzi — że czoła nasze owiewa i serca rozdrapuje, od dni najpierwszych naszej młodości, huragan najstraszliwszy z wszystkich, jakie przeżywały przez Europę. W dniach wspaniałej, urzekającej grozy i posępnego piękna, w dniach, które dzieją się naprawdę — przypało nam w udziale: być czującym sercem olbrzyma, ukrzyżowanego na łąkach ziemi. Mówmy otwarcie: jesteśmy pokoleniem, godnym zażdrości wieków — i pokoleniem nieszczęsnym, miażdżonym, jak żadne dotąd, potężną stopą naszego czasu. Spójrzcie w twarz współczesności: kto w gorejących jej żreńcach nie dojrzy tej prostej tragedji — niech na nas rzuci kamieniem!

3. Dzieje piszą się naprzemian: krwią i literaturą. Tak było wczoraj i onegdaj. Patrzcie na Wielką Rewolucję i Romantyzm!

Nasza epoka rozpoczęła się krwawym inicjalem Wielkiej Wojny. Czyż będziemy ją dalej pisać krwią, której — zaprawdę — nie mamy już za wiele?

4. Wyznajemy poprostu: Wojna odstawiła nas bezpowrotnie od bujnej piersi tej szanownej mamki, jaką był romantyzm dla całej literatury XIX-go wieku. Dla całej, nie wyłączając żarliwego apostaty: naturalizmu.

Nie jest dla nas możliwym wierzyć w człowieka takiego, jakim go ostatecznie spreparowała ta literatura, oraz w jego kulturę, taką, jaka runęła na pola bitew w r. 1914-tym.

Wraz z niezaprzeczonym rozkruszeniem się treści i form dotychczasowego życia zbiorowego — bankructwo wczorajszych bogów i półbogów literatury stwierdziliśmy — w naszych sercach! Są one chyba powołane, aby rozstrzygać o — żywym.

To, co żyje: współczesność, jest miotającym się w bólach, nieopanowanym chaosem. Nam, poetom, przychodzi świadczyć o przynależności chaosu do Boga.

5. Pojmując naszą wielką odpowiedzialność wobec przyszłości, ustalamy:

Poezja jest organizowaniem duszy zbiorowej. Działła ona bowiem przez Słowo, które jest najistotniejszym czynnikiem kształtowania rzeczy i zdarzeń.

(Odbierze ludzkości Słowo: cóż z niej pozostanie? Ponury, obłąkany romans ducha z materją, krwawa i bezsensowna anegdota).

I dalej: Słowa poezji rodzą się pod ciśnieniem wielu tysięcy atmosfer. Rzecz ma się z niemi, jak z drobinami najcudowniejszego pierwiastka przyrody: z drobinami węgla. W żarkiej temperaturze serc i pod niewymiernym ciśnieniem najwyższej Konieczności — słowa poezji krystalizują i świecą.

A wreszcie: tam, gdzie się kończy poszukiwanie programu — zaczyna się poezja. Jest ona produktem „siły fatalnej“, sprzymierzonej z gorącymi włóknam żywego serca. Jest zjawiskiem naczelnem przyrody ludzkiej.

6. Przeto: nie „Sztuka dla sztuki“ — i nie — po stokroć nie! — „zaganianie batem“ poezji do służby publicznej w znaczeniu utylitarnem (a więc do służby programów i tendencji politycznych, religijnych, czy społecznych). O pierwszej, o „Sztuce dla sztuki“, trudno dziś nie myśleć, jako o przemijającym hasle jednego pokolenia twórców. Zaś na gesty ludzi, potrzęsających „batem“ — miejscem najważniejszym było dotychczas zawsze — podwórze folwarczne.

7. Nie znaczy to, jakoby wielkie, biologiczne procesy zbiorowego życia ludzkości, potężne zjawiska społeczne i polityczne miały być dla poezji zapoznaną dziedziną. Chodzi jedynie o właściwe, twórcze (nie reporter-skie!) ustosunkowanie poezji do tych zjawisk.

„My ubiegamy burzliwą powódź rzeczy [o tę jedną minutę, która nawiedza nas, kiedy jesteśmy samotni!“

— tylko temi słowami — myślę — wolno poetom określać swój do największych zjawisk życia zbiorowego stosunek. I wówczas tylko poezja nabiera wartości rzeczywistej i realnej — Czyny! Wszystko inne, nie jest poezją; jest chwytaniem wspaniałego rumaka — za ogon.

8. Należy raz wreszcie pojąć, że poezja ma być Czynem, w całkowitem i najistotniejszym znaczeniu tego wyrazu. Stara przeciwstawiająca formuła: „Słowo, a Czyn“, była odwiecznym nieporozumieniem, które najfatalniej kształtowało stosunek poezji i twórców do życia i świata. Z tej właśnie formuły wypłynęły dwa wczorajsze, zasadnicze i przeciwległe rodzaje pojmowania poezji: już to, jako oderwanej od życia i cel „sama w sobie“ mającej, „czystej“ Sztuki — — już to, jako (Romantyzm polski!) „czynu w zastępstwie“, jako duchowego ambasadorowania idei utylitarnych, narodowych, czy społecznych. Łatwo dowieść obojętności tego drugiego pojęcia: tkwi w niem niebezpieczeństwo i dla twórców, sprawujących rolę dyplomatów i mężów stanu — i dla reprezentowanej przez nich, choćby genialnie, idei utylitarniej.

9. Czyn poezji ma wartość realną i bezwzględną. Jak drzewo, wyrasta on z ziemi i tkwi w niej korzeniami; to prawda. Atoli treścią drzewa jest szum, mieszkający w jego gałęziach, a wygrywany wiatrami, wiejącami z przestrzeni niewiadomej i — kto wie? — ocierającami się może o stopy Boga!

Czynem poezji, jej przyrodzoną funkcją jest przyjmowanie fal bożego wichru i kondensowanie ich energii w twórczym potencjale słowa. Poprostu: uświadamianie Najwyższego Sensu, a przeto: koordynowanie bytu, organizowanie (nie preparowanie!) duszy zbiorowej. Jeszcze prościej: organizowanie człowieka!

10. To — nie program. To konieczność wyznaczenia poezji właściwego stanowiska w wielogłośnym tłumie sił wojującej współczesności.

Do „służby publicznej“ w znaczeniu demagogów, nikt nie zagoni poezji, a już najmniej „batem“. Poezja byłaby tam maruderem, jadącym w taborze, na wozie z rekwizytami.

Wierzmy zaś, że miejsce jej jest — w pierwszym szeregu! Tam pełnić ona będzie swą bolesną i twórczą Pracę.

Nr 6 „Gazety Literackiej“

zawiera:

Antykwariat dogmatów — artykuł wstępny.

W pierwszym szeregu — Leon Kruczkowski.

O „Puszczy Jodłowej“ Stefana Żeromskiego — Józef Wittlin.

Ostatni Wajdelota — Józef Ujejski.

Zemsta ekranów (nowela) — Bronisław Borkowski.

Paś baranki moje (nowela) — Adam Polak.

Eugeniusz O'Neill — Helena Kwiecińska.

Aktualność Heinego — Marja Przedborska.

O powieści J. Kurka — Witold Zechenter.

Wiersze: Jerzego Ronarda, Jerzego Brauna i Marjana Sewiego.

Pozatem działy aktualne i informacyjne, bogaty dział krytyczny, kronika literacka, teatralna i filmowa i t. p.

OD WYDAWNICTWA

PROSIMY O SPIESZNE ODNOWIENIE PRENUMERATY NA DRUGI KWARTAŁ B. R.

Prenumerata kwartalna 1-80

półroczna 3-60

a roczna tylko 6 zł.

Wpłacać można blankietem nadawczym „GAZETY LITERACKIEJ“

z wydrukowanym numerem konta, albo też zapomocą blankietu nadawczego bez nadruku, który otrzymać można w każdym urzędzie pocztowym i na którym należy napisać numer konta 406.060 i nazwę: „GAZETA LITERACKA“.

TRZECIA WYSTAWA CECHU ARTYSTÓW-PLASTYKÓW „JEDNORÓG“

Ta najruchliwsza i najdalej naprzód zaawansowana grupa obfituje w młode i jak najlepiej zapowiadające się talenty.

W 3-ciej wystawie „Jednorogu“ (w gmachu Tow. Sztuk Pięknych w Krakowie) wzięli udział: Stanisław Dąbrowski, Eugeniusz Ejbisz, Jerzy Fedkowicz, Jan Hryńkowski, Felicjan Szczepny Kowarski, Władysław Krzyżanowski, Stanisław Popławski, Jan Rubczak, Wacław Zawadowski, Stanisław Żurawski — oraz Władysław Augustynowicz, Feliks Krassowski, Roman Orszulski, Franciszek Prochaska i Władysław Strzeżewski.

Zwracając uwagę projekty sceny narastającej Feliksa Krassowskiego — oryginalnością pomysłu i fascynującym wykonaniem.

Wysiłek artystyczny sympatycznej grupy „Jednoróg“ zasługuje na gorące uznanie i poparcie sfer intelektualnych Krakowa.

BRONISŁAW BORKOWSKI

ZEMSTA EKRANÓW

I.
Noc opuszczała się zwolna na huczące rojowisko stolicy, jak ogromna, czarna kurtyna haftowana w migotliwe gwiazdy. Lampy zapalały się, jak tajemnicze sygnały. Ogrody szumiały przeciągle, jak cichutkie, zaczarowane organy. Coś odurzającego roznosiło się bezszelestnie po ulicach i placach, przesuwając banalną codzienność miejskiego życia ku krawędziom nierzeczywistości.

Z przestrzeni nieokreślonej długi, świszczący wiatr nawiał woni łąk i lasów. Ludzie oddechali rozgrzanem, namagnetyzowanym powietrzem. Sznury lamp pędziły w głąb ulic i hen, w oddali związywały się w srebrne węzły z frenzlami gwiazdozbiorów.

A w czeluściach ulic transparenty kinematografów rozpylały nad tłumem wielką, rozkołysaną legendę o morzach wzburzonych, o wielbłądach pod palmami, o lasach Kalifornji i o poślaczanych pałacach miliardów. Ludzie szli ku nim, jak cmy, wpatrzone w blask świecy i wlewali się z pomrukiem na jaskrawo malowane hale widowni.

II.
„Najazd cieni“ z Conradem Veidtem... Przedziwna tragedia...

Wnętrze kina „Lux“ przepełniło się publicznością.

Latarnie zgasły, a z maleńkiego oka operatorni wykłwitała aż na ekran jasna smuga. W smudze tej kotłowały się i mrowiły całe lawiny obrazów, postaci, cierpień i wydarzeń.

Byłem wtedy i ja w kinie. Zdawało mi się, że ponad moją głową w smudze tej przelatują z szumem owe miasta indyjskie i waskach fal, mężczyźni w turbanach i kobiety o nagich ramionach i jarzących żreńcach. Wszystko to biegło w kurzawie śmiechu i łkań, cierpień i zbrodni, aby paść na ekran i przykleić się doń, jak żywa, poruszająca się egzotyczna marka.

Mieszczuchy i ulicznicy wciągali chciwie w nozdrza aromat błyskawicznych, sensacyjnych wydarzeń...

III.

Conrad Veidt grał znakomicie. Miłość jego do hinduskiej księżniczki była wstrząsającą tragedją i wyciskała z oczu kobiet palące łzy, jak sok z cytryny. Mężczyźni emocjonowali się pośpiechem gonitw i grozą niesłychanych niebezpieczeństw, z których bohater, jak dotąd, wychodził cało.

Naraz jednak... schwytano go w pułapkę! Nie było wyjścia. Straszliwi hajducy maharadży biegli zewsząd z krzywymi szponami ku jego gardłu. Olbrzymi, lśniący miecz wznosił się... a cała widownia zdrewniała, zastygła w potwornym lęku. Zginie!

Veidt krzyknął tak głośno, że usłyszeli go wszyscy... szarpnął się gwałtownie i skoczył... Wyskoczył z ekranu...

— „Jezus Marja!“ — zaspazmowały mdlejące kobiety.

Panika, zgłęb, oczy wylające z orbit, tłumy zrywające się do ucieczki...

Ja jeden nie ruszyłem się z miejsca. Patrzyłem nań bez przerwy.

Conrad Veidt, przeskoczywszy z przedziwną lekkością przez orkiestrę, stanął na widowni przed pierwszym rzędem krzesel wśród zgriał ryczących uliczników. Właśnie przerażony operator zerwał taśmę i lampy zapaliły się wszystkie naraz. W ich świetle poprzec zmieszany, tratujący się tłum widział go, jak trwał wyprostowany i spokojny sam jeden wobec tysięcy. Poprawił zmierzwiłone włosy — otrząpął niedbale i przyglądał się pomięte w szamotaniu ubranie i uśmiechnął się wzgardliwie i drwiąco.

Dał znak ręką i ludzie pod jakimś nieodpartym przymusem siły nieznannej zatrzymali się, jak wryci.

— Panie i panowie! — przemówił Veidt głosem donośnym, choć dystygnowanym. — Proszę się rozejść! Nie będzie spektaklu! Ja idę do kabaretu...

Zrobił jakiś oryginalny, jemu tylko właściwy, grymas kątem ust i najspokojniej w świecie przeszedł przez rozstępujący się tłum.

Za chwilę był już na ulicy.

IV.

— Trzymajcie go! To ten! Uciekł z ekranu! Brać go!

Dwu w kaskach z rewolwerami zbliżało się. Palili cygaro i śmiał się. Jego długie, nerwowe dłonie utonęły w kieszeniach smokinga.

— W imieniu prawa... — recytował zimny, nieublagany głos ajenta.

Conrad Veidt został uwięziony.

V.

Więzień na śledztwie odmawiał jakichkolwiek wyjaśnień.

— Tak, jestem Veidt — rzekł tylko — oto moja wizytówka. — Istotnie szedłem z ekranu, tego nie zaprzeczam. A dlaczego to uczyniłem? Bo mi się tak podobało.

— Ależ pan jesteście fałszywym Veidtem. Prawdziwy przebywa obecnie w Berlinie.

— Kpię sobie z tego...

— Zabawa ta źle się dla pana skończy.

Jako osobnik nieznany, niezarejestrowany i pochodzący z ekranu, zostanie pan stracony.

— Jeżeli włos spadnie z mojej głowy, nie unikniecie straszliwej Zemsty Ekranów!

— Warjat! — krzyknęli sędziowie, wybuchając śmiechem.

VI.

W trzy dni potem przyjechał prawdziwy Conrad Veidt, wezwany despeszą. Był błądy i zdenerwowany. Po rozmowie z dyrekcją więzienia udał się do celi swojego sobowtóra. Siedział tam conajmniej dwie godziny i do-

zorczy poczęli się obawiać, czy „warjat“ nie uczynił mu co złego.

Ale wtem drzwi celi otwarły się gwałtownie i wypadł z nich prawdziwy Veidt, trzymając się oburącz za głowę.

— Co to będzie?! dla Boga! Co to będzie?! Dozorcy, sędziowie i reporterzy, zgromadzeni na korytarzu, otoczyli go kołem.

— Co się stało? Cóż on panu powiedział?! Ale Veidt! Zatrącił tłum i biegł, jak szalony krzycząc:

— Nie zabijajcie go! Na miłość Boską nie zabijajcie go, bo stanie się rzecz straszna! Tegoż dnia wszedł do pociągu i odjechał z powrotem do Berlina.

VII.

Człowieka, który zszedł z ekranu skazano na śmierć i wykonano natychmiast egzekucję. Uparty i wzgardliwy do ostatka trwał w dumnym milczeniu, paląc cygaro i wydymając błękitny dym ku łufom karabinów.

Ale w tejsamej sekundzie, gdy dziesięć chłodnych kul przeszło jego serce — wszystkie ekrany stolicy zbuntowały się. Lokomotywy z gwizdem wyjechały z nich na widownię, okręły z „Bitwy pod Cuszimą“ oddały ostre strzały na miasto, Beduini traktując publiczność pogalopowali na ulice, od płonących na ekranach pożarów zajęły się gmachy, a wzburzone wody wylały, zatapiając wyjące tłumy. Istny dzień sądu rozpętał się ponad struchlałą stolicą.

Taką była Zemsta Ekranów.

JÓZEF UJEJSKI

OSTATNI WAJDELOTA

(Dokończenie)

Twórczość Żeromskiego wchłonęła w siebie dużą ilość składników pozytywizmu i naturalizmu, które właśnie jako reakcja przeciw romantyzmowi powstały, a jednak przytłumić go nie zdołały. Kolor tylko zmienił trochę i topografię łożyska.

Wśród żywiołów zwycięskich w tej walce romantyzmu z pozytywizmem widnieje też w twórcach takich, jak Żeromski lub Wyspiański, jeden jeszcze, który ich czyni kontynuatorami t. zw. wieszczów jeszcze wyraźniej. Jest to mianowicie poczucie wyjątkowego w tym narodzie i czasie postępowania poety. Poczucie, że wielki talent poetycki, to zarazem powołanie sięgające daleko poza sferę sztuki, to żywy organ sumienia narodowego, to prawo nakazu i weta moralnego i politycznego, ba! nietylko prawo-obowiązek! Tego żądało, to za warunek uznania wielkości poety kładło samo społeczeństwo. Nadaremnie reakcja antyromantyczna po 63 r. usiłowała poezję i poetę zdetronizować, daremnie próbowała mu wyznaczyć rolę uczestnika pracy organicznej jednego z wielu. I nadaremnie potem poezja sama taką rolę zniechęcona, a do dawnej już nie pretendująca, usunąć się postanowiła w dziedzinę „czystej sztuki” i tam chciała pocieć absolutne, niekonstytucyjne ufundować królestwo. Nadaremnie i tamto i to, bo jedno i drugie działa się jakby wbrew woli t. zw. ducha narodu, który pragnął, który oczekiwał, który musiał mieć „wieszczów”. Już Sienkiewicz za to, że mu przeszłość jego w wielkich malowidłach odtworzył, uznał ów duch narodowy za swego reprezentanta nazewnątż i nawewnętż: Orędzia do monarchów i narodów dała mu prawo w swoim imieniu pisać; głosu jego w każdej ważnej dla siebie sprawie oczekiwać się zdawał i wzywał. Atoli wielki malarz przeszłości, bólowi i grozie teraźniejszości siły wyrazu dać nie umiał. Nietylko już „pokrzepienia sercem” nie przyniosły powieści współczesne Sienkiewicz, ale wogóle do nich nie przemawiała. A tymczasem te serca zwały się coraz bardziej i włąły. Wiele obrażało tłuszcem egoizmu i zniechęcenia. Więc innego trzeba było barda i „kto litewską duszę mógł ochronić” — „innej chciał piosenki”. Choćby w krwi przyszło muzę jej zaszargać, do trzeważ trzeba było sięgnąć i zatargać.

I takimi właśnie targnięciem były dla ostatniego pokolenia Polaków w niewoli wielkie utwory Żeromskiego i Wyspiańskiego. Przez Ludzi bezdomnych i przez Wesele oni weszli w prawa i obowiązki narodowych wajdelotów. Weszli na nocy tej jedynej, wolnej elekcji, która prawu z Bożej łaski nietylko nie zaprzecza, ale je zwykle uznaje bez protestu.

Nierówny był wszakże zakres działania tych dwóch pisarzy i przestrzeń ich władzy też nierówna. Wyspiański już z natury swej sztuki nie dla wielu przystępny, działał głównie przez teatr jednego miasta i głos jego do tych nawet, co już „wyteżali słuch”, nie łatwo mógł dotrzeć i nie prędko. Żeromski tymczasem, „z hymnu zstępując do prostej powieści”, trafił przez nią do każdego człowieka dobrej woli, poruszał każdego, kogo tylko poruszyć wogóle można. Słowem, do czerwoności rozgrzanem, parzy ta powieść i rozpala. Czasem łzami krwawymi zdaje się ociekać na ziemię, którą miłościwie obejmuje, na dusze, w których rozbrzmiewa jaknajbardziej rozdzierające de profundis. „Ona to idzie za młodzieńcem w ślady, jak zabitego cień nieprzyjaciela; zjawia się nieraz pośrodku biesiady, aby krew mieszać w puchary weseła”. Aby wiecznie przypominać o nędzy człowieka wśród ludzi i o nędzy narodu wśród narodów; aby nie dać „ranom zaraść błoną upodlenia”; aby nie dać usnąć sumieniom, i wreszcie, aby je zapładniać cudem anielstwa ludzkiego, w który poeta wierzy, który w duszy swej nosi, którego oczekiwanie i kult jest jego religią.

I tej też wiary kapłaństwem był zawód poetycki Żeromskiego przedewszystkiem. Służył jej całą potęgą środków wszystkich re-

ligij: modlitwą i kazaniem, obietnicą i groźbą, błogosławieństwem i klątwą, ekstazą i przerażeniem. W tem wszystkim zaś służył sztuką — sztuką prozy polskiej wprost bezprzykładną, bogactwem słowa takim, że podobne znaleźć można jedynie w wierszach Juljusza Słowackiego.

Służył zaś właśnie sztuką nie sztuce. Sztukę dla sztuki teoretycznie uznawał, swobodę zupełną uważał za jej nienaruszalne prawo. Ale swój własny artystm oddawał dobrowolnie sprawom, które uważał za większe stokerd od sztuki i świętsze. A tych, co inaczej czynili — ceniąc nawet jako artystów — jako ludzi nie rozumiał. Z jakże gorzkim żalem myślał i pisał, że „po skończeniu wojny Polska stała się niemodną w poezji i wszyscy poeci są na nią niełaskawi.*) Bez gniewu, serdecznie, po ojcowsku niemal, ale z jakimże smutkiem karcił tych poetów za ich snobizm w stosunku do obcych literackich kierunków! Jakże bolesną była temu wajdelocie narodowemu myśl, że oto jest może ostatnim! Ludzie ostatniego niewolnego pokolenia polskiego, które pieśń jego „karmiła żalem, poila nadzieją”, odprowadzali go do grobu ze smętniem myśli tej samej.

Narody wolne i możne nie wydają wajdelotów w tym naszym mickiewiczowskim słowa tego symbolu. Nie potrzebują Konradów, więc i bez Halbanów żyć mogą. Nie wołany zaś przez żywotną potrzebę duszy zbiorowej nowy Stefan Żeromski już nie przyjdzie. I wolno też myśleć, że skoro taka potrzeba bywa wynikiem takiego położenia narodu, jak to, które dla nas dopiero co minęło, to obyśmy jej nie odczuwali już nigdy. A jednak — jakże się trudno oprzeć tutaj melancholji więcej z tego wyrazu: ostatni! Może się zresztą za welonem tej melancholji inne jeszcze uczucia kryją, może i to, że przedwcześnie dla nas obywać się bez takich już „pokrzepienia sercem” nie przyniosły powieści współczesne Sienkiewicz, ale wogóle do nich nie przemawiała. A tymczasem te serca zwały się coraz bardziej i włąły. Wiele obrażało tłuszcem egoizmu i zniechęcenia. Więc innego trzeba było barda i „kto litewską duszę mógł ochronić” — „innej chciał piosenki”. Choćby w krwi przyszło muzę jej zaszargać, do trzeważ trzeba było sięgnąć i zatargać.

Tak, — niema chyba nikogo, coby nie myślał, że Stefan Żeromski umarł przedwcześnie. Jakikolwiek był czyj do niego stosunek osobisty, o czemkolwiek kto przy jego trumnie myślał szczególnie, jakiś tam przecież skarb umniejszony przez tę śmierć i dział w myśli swej każdy. Bo jest w spuściźnie jego bogactwo do podziwu wielkie. Ja wiem dobrze, że go tutaj nietylko nie pokazał, ale nawet i nie przypominał. Żeromski sam z rozmyślań nad sobą wysnuł i artystycznie też nieraz zużytkował teorię psychologiczną, którąby można nazwać teorią wieloosobowości jaźni, czy też teorią fałsobowych w człowieku, albo jakoś podobnie.***) Otóż z takich osób czy fał, które obejmuje ten rzeczownik zbiorowy: Stefan Żeromski, starałem się dziś wyłuszczyć i ukazać tylko jedną. Ale myślę, że to ta, która się zrodziła w samym sercu wspólnego podłoża wszystkich i stała się sama matką fał najczystszych i kręgi zataczających najszersze. I długo, długo jeszcze na tej właśnie fali wypływać będzie z nurtu historii nazwisko Stefana Żeromskiego, które stanie za symbol całego jej jednego w duszy polskiej okresu.

*) Snobizm i postęp.
**) Bodaj, że już gdzieś Bourget podobną teorię wykladał. Żeromski w „Dziejach grzechu”.

JÓZEF WITTLIN.

O „PUSZCZY JODŁOWEJ”

STEFANA ŻEROMSKIEGO

Już w żyłach dwóch pokoleń, co polską władając mową, roztopiła się ta święta krew, ta soczysta siła, tryskająca z żywej cielesności słów Stefana Żeromskiego. Wypruta z samych trzewiów kieleckiej ziemi, wypędzona z broczącej żywicią kory jodeł — krąży niewidzialna nietylko w nas, którzy pisanego słowa używamy na wypowiedzenie naszego serca, ale wilgocią swoją przepaja już każdy intymniejszy zwrot potocznego języka, użytego na wyrażenie codziennej naszej troski. Tą błękitną, zieloną, szumiącą, liściastą krwią — zawodzią najpiękniejsze kadencje naszych uniesień, pisanych i mówionych; tym czarodziejskim płynem bierzomany jest rytm naszego najgłębszego płaczu w godzinie trwogi.

Z trzydziestu stron ostatniej książki, pisanej ręką Żeromskiego, spłynęło ku nam jedyne wyznanie, jakby uczynione w pośpiechu, w przecieczu godzinie śmierci.

Oto surowy, sprawiedliwy i miłosierny rzecznik spraw narodu i społeczeństwa, Boga i natury, oto cierpliwy spowiednik doli tylu polskich pokoleń, po czterdziestu tomach pisanych o wszystkim, tylko nie o sobie, poraż pierwszy użył zaimka osobistego: ja.

Jakby się domyślał, że ciekawość nasza zażąda rodowodu od wiernego spowiednika, przedśmiertnego zwierzenia, uchylenia choć rąbką tajemnicy jego osobowości, co służyła tylu zmyślnym żywotom, żeby dać świadectwo niezmyślnym bólowi i niezmyślonej miłości.

On, który o Strawczanej, o Łysicy, o Radostowej górze umiał mówić tak, jakby te góry, te bory w rzeczywistości nie istniały, a były tylko umieszczone na mapie wyobraźni, lub, jakby tylko istniały dla Rafała Olbromskiego, dla Huba, jakby Świętokrzyskie knieje żyły tylko poto, aby dać przrutek wymagowanym bohaterom wolności... tu, poraż pierwszy wyznał w pierwszej osobie swoje własne uwielbienie dla tych rodzinnych stron, smutne i uroczyste, przysłonięte cieniem zbliżającego się pożegnania.

Jak sumienny oficer na służbie u wysokiego suwerena nigdy nie zdradzi się z tem, że w szeregach mu podległych znajduje się jego własny syn-jedynak, tak Żeromski nie zdradził nigdy, skąd wzięła się u niego słabość do ziemi kieleckiej i sandomierskiej. Niczem jej nie wyróżniał, nie pieścił się nią, przechodził po niej twardym, podkutym butem żołnierza i pozwalał na niej umierać śmiertelnym wrogom. Szczodrze odstąpił tę ziemię swoją. Jak wódz sumienny, który swego syna urzędową formułą wyzwa do raportu i wywołuje po nazwisku, nigdy po imieniu — tak Żeromski nie śmiał publicznie być na „ty” z umiowaną swoją puszcą świętokrzyską, nie pozwalał sobie na żadną z nią poufałość, nie ważył się nawet na najmniejszą, przymliną apostrofę liryczną. — On, wielki liryczny ziemni... Dobrowolnie oddał najukochańsze ostępy na służbę publiczną: niech służy za schronienie szkolanym bandom powstańcom, niech ziemia marzeń chłopięcych służy za łono matczyne tym, co nie mają matki. Niech bojownicy o wolność przyłożą do niej swe piersi, jak ongi bohaterowie Greków przypadali do Gaji-matki, aby z niej brać nowe siły.

A kiedy już ziemia wróciła z wszystkich wojen, z wszystkich bitew i leśnych potyczek, pokopana, stratomiona, umęczona i krwawa, wówczas dopiero On sam przytulił ją do serca i trwał z nią w uścisku do końca. I nie puścił więcej.

Tak oto poraż pierwszy przemówił do nas Stefan Żeromski w swojej własnej, pierwszej osobie. Lecz myliłby się, toby sądził, że w tym drogocennym pamiętniku znajdzie komentarz jego prywatnego życia, klucz do skarbnicy jego wysokiej godności i dumy; ten wielki pan, który pod koniec życia przemówił o swoim życiu, po to tylko użył własnego imienia, aby przemijaniu swego ciała przeciwstawić wieczność ziemi, z którą rozmawiał za młodu i nieśmiertelność swojej wstydlwej, dziewiczej miłości.

HELENA KWIECIŃSKA

EUGENJUSZ O'NEILL

Wobec coraz to nowych »gwiazd« wschodzących na horyzoncie sztuki i literatury współczesnej, wobec coraz to silniejszego zalewu prasy i teatru nowymi nazwiskami »genjalnych« autorów, trudno przemilczeć jednego z najoryginalniejszych i najgłębszych może twórców dramatu współczesnego — Eugenjusza O'Neill.

Narazie mało o nim wiemy jako o człowieku. Żyje on podobno w samotności, zdala od życia światowego, w małej portowej miasteczce po tamtej stronie Atlantyku, oddany wyłącznie swojej pracy. Mimo, że pierwszy tom jego dramatów ukazał się w Bostonie już w 1914 r., ze sztukami jego zapoznał się Nowy Jork, a za nim Londyn i Paryż, dopiero w latach 1919—1923, tak, że właściwie zaliczać go trzeba do autorów doby powojennej. Zmienne koleje losu pozwoliły mu — podobnie jak Jackowi London, wielkiemu włóczędce — wniknąć w różne dziedziny życia, a będąc kolejno aktorem, praktykantem sklepowym, dziennikarzem, a wreszcie marynarzem, zdołał zebrać w ciągu tych wędrówek bogaty materiał i głębokie doświadczenie. Wyliczając koleje jego życia nie należy też pominąć, że był on podobnie jak Pirandello, przez czas jakiś dyrektorem własnego teatru w Nowym Jorku. Z czasów, kiedy był marynarzem, pozostało mu wielkie umiłowanie morza i »morskich ludzi«, dlatego też chętnie szuka tematów wśród nich. Bohaterem jednego z najlepszych jego dramatów »The Hairy Ape« (Włochata Małpa) jest palacz okrętowy Yank. Wogóle O'Neill jest zdania, że między nędzarzami i wykołajcami losu więcej znaleźć można prawdziwego człowieczeństwa, niż wśród owych »upper ten thousands«, u których blichtr i szczyh zewnętrzny zakrywają beznadziejną próżnię wewnętrzną. Z chwilą zaś, kiedy wprowadza nas w sfery burżuazyjne, pióro jego słabnie. Poprostu czuje się, że ponieważ sam autor mało ma do tych sfer upodobania, nie umie temsamem nas nimi zainteresować. Dlatego też sztuki takie, jak »Welded« (»Złutowanie«) i »The first Man« (»Pierwszy człowiek«) nie mogą się równać z taką n. p. »Anna Christie« albo »The Hairy Ape«.

Ponury pesymista, wszędzie widzi podłość i zło, sobkostwo i materializm, obłudę i wyzyskiwanie słabszych. Sceny jego i obrazy, pełne groźnego realizmu, skreślone piórem mocnym, często twardym, tętnią życiem, a postacie jego, to nie drewniane marionetki, ale ludzie z krwi i kości. I chociaż krytycy francuscy i angielscy słusznie zauważyli, że O'Neill jest pisarzem na wskroś amerykańskim, możemy przecież śmiało twierdzić, że

„Nienawidzę śmierci!” zawołał z wysokości Radostowej góry, stojąc na jej majestatycznym szczycie, w orszaku odwiecznych jedli.

On, którego cała twórczość była jednym, wielkiem „Nie pozwalam!”, rzuconem pod nogi wszelkiej podłości, wszelkiej krzywdzie, gdziekolwiek i komukolwiek była zadana, tutaj poraż pierwszy i jedyń krzyknął te słowa w obronie praw własnego serca do rodzinnego zakątka.

Ale wielka pokora, będąca zawsze nieodstępnym towarzyszem Jego królewskiej dumy, po tym pierwszym i ostatnim zakazie, wysłanym we własnym imieniu — naprzeciw wszelkiej barbarzyńców przyszłości — jak cichutka pozioma skryła głowę i przekroczyła zarośnięty próg starej, opuszczonej kapliczki leśnej „u podnóża Łysicy”. Tam pokoniła się wieczności — słowami:

„Stefan Żeromski, uczeń klasy drugiej.”
Uczniowie klasy drugiej, którzy z dumą czytać będąciece „Puszcze jodłową”, pamiętajcie, że wielki drugoklasista wszedł do tej kapliczki po to, „by w zbożnym zamiarze, bojownikiem zapomnianym przez ludzi, oddać zapal swój.”

I dlatego tylko tak szczodrze pozwolił uczestniczyć nam i wam w świętym obrzędzie wspominków swego dzieciństwa i podarował na zawsze już, na zawsze to, co dla Niego było tak krótkim i przemijającym szczęściem.

Szcześnie to, z 30 stron książki, pachnie żywicią boru i „pozgonnym tymianem”.

dzięki swemu ogólnoludzkiemu ujęciu życia i konfliktów życiowych należy mu się miejsce wśród tych autorów, którzy są dziś własnością całego cywilizowanego świata. Jego »Anna Christie«, »The Hairy Ape«, »The Straw« (Słoma), »Beyoud the Horizon« (Poza horyzontem), »Diff'rent« (Odmienny), wreszcie jego niezwykle jednoaktówki poruszają tak ogólne problemy, że niezależnie od czysto lokalnego zabarwienia, mogą mieć zapewne powodzenie na wszystkich scenach świata. Z dzieł jego widać jasno, że pragnie on zrównania wszystkich sfer społecznych, a wychodząc z założenia, że »wszystkie dzieci Boże mają skrzydła« — (tytuł jego ostatniej sztuki, granej obecnie w Londynie i Berlinie) — stara się on wykazać, że różnice, jakie się robi między murzynami, a białymi są niesłuszne. Jest to motyw szekspirowski, odmiennie tylko ujęty, który dla Ameryki jest bardzo aktualnym. Również tak modny dzisiaj problem seksualny budzi w nim stale silny oddźwięk, (»Diff'rent« i »Anna Christie«). Obok ponurego realizmu, obok owej »grimness«, która jest jakby motywem przewodnim całej jego twórczości, spotykamy tu także postacie pełne subtelnej liryzmu, tak, że podziwiać nam potrzeba ogromną jego wszechstronność. Jego Eileen, bohaterka dramatu »The Straw«, biedna suchotnica, skazana przez lekarza na śmierć i tęskniącą całą siłą swojego gasnącego życia do poetyczności, jest postacią niezwykle szlachetną i piękną. Caleb, z dramatu »Diff'rent«, wzgardzony wielbiciel egzaltowanej dziewczyny, który przez 30 lat ubiega się daremnie o jej względy, aby wreszcie skończyć samobójstwem, gdy się dowiaduje, że ukochana w rozpacz staropaniństwa, chce poślubić młodego nieponia — dużo ma w sobie niedzisiejszego romantyzmu. Nawet Anna Christie — młoda prostytutka, zagnana nędzą do domów publicznych — czaruje nas wprost chwilami szczerością swojego uczucia, kiedy pod tchnieniem pierwszego szczerzej miłości dąży na wszelką cenę do odrodzenia duchowego.

Do ostatnich rzeczy O'Neill'a należą: »All God's Chillun Got Wings« (Wszystkie dzieci Boże mają skrzydła) i »Desire Under the Elms« (Tu, pod wiazami), z których ta ostatnia szczególnie stała się obecnie bardzo głośną ze względu na to, że zarówno cenzura amerykańska, jak angielska zakazały jej wystawiać. Powodem tego zakazu miało być, rzekomo, zbyt nagie przedstawienie najniższych instynktów ludzkich, niezabawione już tym razem najlżejszym nawet odcieniem liryzmu.

Sztuką, która zdobyła mu wszakże największy rozgłos i grają już była na kilku scenach amerykańskich i europejskich z ogromnem powodzeniem jest »The Emperor Jones« (Cesarz Jones). Jest to historia murzyna, który rozpoczyna karierę jako posługacz w Pullmanowskim pociągu luksusowym, po jakimś czasie zostaje cesarzem małego murzyńskiego państwa, a wreszcie ginie tragicznie z rąk własnych poddanych. Sztuka ta należy bezsprzecznie do najoryginalniejszych dramatów, jakie posiada literatura. Pełna niezwykłych pomysłów i konfliktów, nie przestaje mimo to, ani na chwilę, być wysoce artystyczną. Dla nas jest może trochę obcą, gdyż za mało znamy psychikę murzyńską i za mało zajmowaliśmy się dotąd »problemem czarnym«.

W każdym razie byłoby bardzo wskazane, aby sceny polskie postarały się o wystawienie dramatów Eugenjusza O'Neill'a, a temsamem umożliwić szerzemu ogółowi zapoznanie się z wielkimi dziełami wielkiego pisarza.

Czas odnowić przedpłatę na drugi kwartał 1926 r.

OBYWATELE!

Nie żałujcie grosza na cele oświatowe T. S. L.

ADAM POLEWKA

PAŚ BARANKI MOJE!

Pewien uczony w piśmie mówił: Niema piekła, a tylko wieczność sama jest piekłem dla złoćczyńcy.

Drugi sądził, że niema żadnego piekła z ognia.

Trzeci uczony mówił: Niema piekła, a tylko w zbrodniarzu rodzi się ogień, który go pali i pożera.

Ksiądz Andrzej patrzył w płomień palnika Bunsenowskiego i rozważał techniczne możliwości „wiecznego ognia”.

Nieświecący płomień wibrował przeźroczystym żarem.

„Idźcie przekłeci w ogień wieczny”.

Pół żartem, a pół serio zastanawiał się nad techniczną stroną dogmatycznego problemu.

Obserwowałem go baczenie. Rozmawiał sam ze sobą.

Sledziłem go z ciekawością i uwagą po reportersku, włączając sensacyjny wywiad.

Ręce zacierałem z radości.

Ksiądz Andrzej był proboszczem w małej osadzie rybackiej, kilka mil odległej od miasta V., ale swoje obowiązki duszpasterskie ograniczał do odprawiania mszy, poczem jechał do miasta, gdzie dłuhał do zmroku w swoim laboratorium.

Przed laty studiował chemię i do końca życia pozostał wierny probówkom i biurom. Miesiąc temu odbił się głośniechem echem w prasie cud, który miał miejsce w kościele św. Bartłomieja w owej osadzie rybackiej, gdzie proboszczem był właśnie ksiądz Andrzej.

Polecono mi zrobić z nim wywiad.

Przyznam się szczerze, że w chwili, gdy pierwsze słowa z tym człowiekiem zamienił, zapomniałem o celu mojej wizyty i było mi obojętne, czy Madonna poruszyła głowę, czy ręką i jakie słowa przy tem wypowiedział.

On sam zajął całą moją uwagę.

Cudy i wysoki, o ostrej twarzy, robił wrażenie pół-mnich, pół-chemika.

Rzucił pytanie:

— Wywiad?

Nim zdążyłem odpowiedzieć, skinął głową:

— Dobrze.

Stara służąca o twarzy porowatej od ospy, jak gąbka, wniosła śniadanie i, położywszy tacę na małym, trzcinowym stoliku, spojrzała na mnie zezem czarnych oczu.

Ksiądz Andrzej usiadł i, nie zabierając się do jedzenia, zgarnął okruchy chleba z tacy. Na stole stał gipsowy baranek wielkarnocny.

Mój rozmówca gniótł w ręce lepki chleb i, opowiadając, toczył z niego galki, które na długiej i wąskiej dłoni podsuwał białemu barankowi, jakby go karmił.

Opowiadał:

Podczas ostatniej wielkiej burzy zatonoło około trzydzieści bark i blisko pięćdziesięciu

rybaków z jego parafji, bo tylko kilkunastu z nich wyciągnął z wody angielski parowiec.

Prawie trzydzieści rodzin pozostało bez środków do życia, bo nietylko zginęli ojcowie rodzin, ale przepadł i cały majątek ni jednego rybaka — barka.

W małej kaplicy kościoła św. Bartłomieja jest marmurowa statua Madonny.

(Przytaknąłem: Wiem o tem).

W kilka dni po burzy stary Antonello, bogaty handlarz sardynek, zawiesił złotą barkę w ofierze marmurowej Madonnie, która sprawiła, iż w tym polowie nie brał udziału i cudem uniknął nieszczęścia.

Ponieważ trzydzieści rodzin przez jedną noc stanęło u progu nędzy, więc ksiądz Andrzej namawiał starego handlarza, by, zamiast wieszać wota, pospieszył nieszczęśliwym z pomocą.

Ale Antonello ani chciał słyszeć o pomocy dla nędzarzy.

— Sam jestem biedny — skamlał — biedny — povero diavolo — bardzo — bardzo biedny. Madonnie trzeba — musi się — ale bliźniemu nie — nie!

Powiesił swoją barkę wśród innych wotów i, rzucając Madonnie z podelba fanatyczne spojrzenia, chępił się swoim darem.

Przyszło jeszcze kilku innych i zawiesili za szkłem złote serca. Potem przychodzili często do kaplicy i cieszyli się, że ich złoto wisí nietknięte, a przecież Madonnie złożone w ofierze.

W jakiś czas potem, w czasie mszy żałobnej za dusze potopionych, kiedy cały

kościół trząsł się od łkań i nieludzkiego wycia, stał się cud.

Ludzie zamarli z przerażenia.

Po bładych, skamieniałych z przerażenia twarzach ściekały łzy do otwartych w niemym krzyku ust.

Stał się cud.

Madonna skinięła ręką. Ruch był krótki, ale dobrze widoczny.

Przerazony ministrant zakrył oczy łokciem i w oszołomieniu dzwonił zapamiętane.

Nikt go nie słyszał, ale wszyscy słyszeli słowa Madonny:

— Serca i barki ze złota zamieniecie na chleb i łódzie drewniane.

Ksiądz Andrzej nie było wtedy w kościele. Mszę odprawiał wikariusz.

Na trzeci tydzień zbudowano trzydzieści łodzi i trzydzieści rodzin odzyskało skromny majątek.

Nawet stary Antonello hojnie sygnął złotem.

Radość oszołomiła nędzarzy. Rzucali się ze słochem na dno barki i, leżąc krzyżem, całowali deski.

Ksiądz Andrzej przerwał.

Patrzył przed siebie, a potem uśmiechnął się do białego baranka i podsunął mu dłoń z galkami chleba.

Nagle zwrócił twarz ku mnie krótkim i ostrym ruchem.

Przerzucił mię na wylot oczyma.

Czułem, że powie coś niezwykłego.

Prawie sylabizował:

— To ja zrobiłem ten cud.

Oniemiałem.

— Cudu we właściwym znaczeniu nie było — ciągnął dobitnie — cud — sztukę kuglarską — zrobiłem ja.

Sprzokował mię spokojnem spojrzeniem wielkich czarnych oczu.

— Zdemaskuję księdza!

Przykuł mię skiniemieniem do krzesła.

Uśmiechnął się:

— Teraz już zapóźno. Ślady zatarte. Zresztą lud figury rozbicie nie da, a w tym wypadku i karabinierzy nie pomogą — czyta! zachwale moje myśli.

— Ależ to oszustwo! — wybełkotałem, unikając jego spojrzenia.

Powstał i wyprostował się, aż trzasły kości w stawach. Wyolbrzymiał. Rysy twarzy stwardniały i zaostrzyły się.

Fanatyczny płomień strzelił mu z oczu:

— Spełniłem dobry czyn.

— Czemu więc pan został księdzem? — pytałem uraglowie.

Twarz jego spopielała fanatyzmem. Przedemną stał średniowieczny mnich.

— Zakon! — rzucił twardo.

— Bądźcie prości jako gołębie i chytrzy jak węże — zachichotałem nieśmiało.

Nie uniósł się gniewem.

Cicho, jak myśl, wymykałem się ku drzwiom.

Nie patrzył na mnie.

Utoconemi z chleba galkami karmił białego baranka z gipsu.

Czułem, że z kimś rozmawia.

Tamten mu szepnął:

— Paś baranki moje!...

JERZY RONARD

DO ADAMA WILEŃSKIEGO*)

Odejmij barkom zmęczonym trzykrzyskie
[krzyże białe —
wpatrzony w Wilję zieloną, przykuty do ziemi
[ciałem.

Te krzyże nad narodem kwitną palmami
[umęczeń,
dzisiaj nam grozi Wschodem, a jutro każe
[kłęzc.

Nie będziemy Chrystusem, upadającym pod
[krzyżem —
naród nasz usnął i usechł, bo się poniżył!

Dzisiaj wołamy do Ciebie, których tak skost-
[niał w geście:
wzleć białym nad nami gołębiem, obudź się,
[obudź w tem mieście!

Któryś się z ziemi tej rozdził i za nią cierpiał
[wiele
coś z prorocstwami wśród obcych chodził —
[o Wojującym Kościele —

Pałace się Polską miecze błogosławiła Roma —
Mojżesz, coś wieść miał rzesze, a na ob-
[czyźnie pomarł — — —

Sztandarem ręce wznies nad miasto, dzwoń
[wiosnę polskiej Jeruzalemie
wszak wiosną 812 ukochałeś to miasto i ziemię.

Zstąp, błagamy, z kamiennych koturnów,
połamiemy się z Tobą sercami —
zakopane już pamiętek urny —
jesteśmy robotnikami.

Zanurz się w Wilję lub Niemen,
weź Jordanowy chrzest!
Czekamy. A nie wiemy,
gdzie żywy jest!

Nie chcemy padać przed martwym tronem —
wołamy: prowadź legionem!

Przestań być zimnym posagiem — stań się
[czemś więcej:
rozwiń się w amarantową chorągiew, my ją
[chwycimy w ręce!

W mogące dłonie podejmij Polskę, jak hostię
Wschód Nią z Zachodem połącz, jak mostem!

Płoną już ognie Bengali, toną już wiśnie
[Japonii,
nie daj, byśmy czekali, czas — gonić!!!

Wołamy, wołamy do Ciebie — wskaż Mon-
[salwatu przystań
zbaw się posagu pogrzebem, trzeciego dnia
[krwią w krwi naszej:
Zmartwychwstań!!!

*) Pomnik Adama Mickiewicza (projekt Pronaszk)
w Wilnie.

DRUK.

JWP. Jan Matejko
art.-malarzFlorjańska, dom własny
w miejscu.

Zdjęcia kinowe. Konkurs piękności dla pań.
Konkurs taneczny. Jazzband: Karasiński, Melodysta.
Wstęp: 6 i 3 zł. Bon na konkurs 50 gr.

A więc Matejko — żyje? A wszyscy tak długo
sądziłyśmy, że umarł! A cóż grób na cmentarzu?
Mystyfikacja! Sekretarce dancingowej, p. O. Te-
kielskiej, która własnoręcznie wysyłała zaproszenia,
nałoży się najwyższy hold, uznanie i chęć za to,
że odkryła prawdę, że ujawniła światu, iż art.-
malarz Jan Matejko ukrywa się do dziś dnia
w niezbadanych głębiach swego domu własnego
przy ulicy Florjańskiej. Specjalne słowa podziwu
należą się jej sprytowi: wiedziała, na jaką to
wędkę złowić starego dziwaka: »Konkurs pię-
kności dla pań...« Jazzband: Karasiński, Melo-
dysta... Mimo wszystko, jednak art.-malarz Jan
Matejko nie przyszedł na dancing.

Niechajże te słowa naszej nagany, potępia-
jące art.-malarza Jana Matejkę za to, że nie
udziela się współczesnej elicie artystycznej i nie
chce pisać z nią przy dzwiękach jazz-
bandu (podobno z powodu swej niezmier-
nej i w części tylko uzasadnionej zarozumiałości),
będą dla komitetu rekompensatą za przykry
i obrażający zawód, jaki go najnieprawdliwiej
w świecie spotkał.

KULTURALNY GŁOS
„PRZEGŁĄDU PORANNEGO“

W powodzi niesłusznych lub naiwnych
napaści na „Gazetę Literacką“, miło nam
zacytować głos prof. dra Stefana Papéeo
w Nrze 77 „Przeglądu Porannego“. Jest on
jednym z niezliczonych stosunkowo dotąd gło-
sów ludzi, którzy zrozumieli nas i podłoże
naszej pracy. Dr Papéeo pisze między innymi:
„Ataki, wymierzane w „Gazetę Literacką“
z obozów ciemnoty i złej woli, pomawiające
redakcję o bolszewizm, udowadniają niezbi-
cie, jak bardzo była potrzebna. Dla ułatwie-
nia sobie wygranej, stało się u nas od kilku
lat zwyczajem oskarżać niebezpiecznego prze-
ciwnika o żydostwo i bolszewickie sympatie.
Ponieważ nie uda się J. Braunowi i W. Ze-

MARJA PRZEDBORSKA

AKTUALNOŚĆ
HEINEGO

(w 70-tą rocznicę zgonu poety).

W lutym r. b. Niemcy obchodzą 70-tą
rocznicę zgonu swojego wielkiego, lecz w tej
wielkości tem nieznośniejszego dla nich nie-
raz pisarza — Henryka Heinego.

Rasowy żyd, z kultury rdzenny Niemiec,
a z upodobań entuzjastyczny francuz, Hen-
ryk Heine, był organizacją twórczą, w której
zlewały się według praw nieuchwytnych naj-
jaskrawsze przeciwieństwa: głęboki liryzm,
przechodzący w swoisty sentymentalizm, —
z bezlitośnie celnym, jadowitym sarkazmem,
nieodpowiedzialną lekkością — z tragicznym
smutkiem, samowolną pustotą — z żarliwą
powagą reformatora. Dlatego też Heine, ogła-
dany z rozmaitych punktów widzenia, jest
wciąż odmienny, pozostając zresztą zawsze
sobą. On sam najtrafniej uchwycił swoją in-
dywidualną różnorodność, która jest niczem
innym, jak wewnętrzna pełnia genialnej je-
dnostki, zamknięta między dwiema grani-
cami — poezji i prozy, marzenia i życia.
„Poezja, choć ją tak kochałem, była dla
mnie zawsze świętą zabawką tylko lub błó-
gostawionym środkiem do niebiańskich ce-
łów. — Lecz na mojej trumnie powinności
miecz położyć, bo byłem dzielnym żołnie-
rzem w walce o wolność ludzkości“.

Przekształcając tożsamość, Heine wkra-
cza śmiało i władczo w przyszłość: jest on
współczesny wypadkom i nastrojom, doko-
nywującemu się przewrotowi, który lata —
lat dziesiątki — oddziela od jego młoty.
Heine nienawidził Niemiec — i kochał je
nie mniej mocno, niż nienawidził: znał on
bowiem Niemcy, jak nikt inny pewnie. „Heine
kocha Niemcy bardziej — niestety — niż one
na to zasługują“, mógł o nim powiedzieć
Aleksander Dumas (ojciec). Pozanarodowy,
czy raczej ponadnarodowy, wydobywał on
ze skłębionych sił niszczycielskich treści
wieczną — ideał ogólnoludzki. „Gdy maszy-
rozumieją współczesność, ludy... nie dążą
podjudzać siebie do nienawiści i wojny.
Święty związek narodów zostanie urzeczywist-
niony. Nie będziemy przez wzajemną nie-
ufność zmuszani do karmienia stłuszczonej
armii morderców: ich miecze i konie są nam
potrzebne do plugów. Wówczas dopiero
osiągniemy pokój, dobrobyt i wolność“.

Nic przeto dziwnego, że wśród tych nie-
licznych, którzy pierwsi zrozumieli Heinego,
znajdował się Karol Marks. Zetknięcie z Mar-
ksem pogłębiło poglądy społeczne Heinego,
których punktem wyjścia był saint-simonizm.
Omawiając okres monarchii burżuazyjnej
we Francji między 1841—1843-cim rokiem,
Heine na kilka lat przed potężnymi wstrzą-
śnieniami dziejowymi rzuca w skrótach wspa-
niały obraz „wielkiego widowiska“, któ-
rego drugim aktem ma być, europejska,
światowa rewolucja i „wielki pojedynzek po-
między warstwą nieposiadających a arysto-
kracją posiadania“. „Nie będzie wtedy mowy
ani o narodowości, ani o religii: będzie jedna
tylko ojczyzna — ziemia i jedna tylko wiara —
szczęście na ziemi“.

Kiedy nastał rok 1848-my, utęskniona „wio-
sna ludów“ i zmuszała podstawy państw
europejskich zachwiała się, Heine, złamany
paraliżem, siedział już w swem materacem
więzieniu. W odpowiedzi na głośny zgiełk
rewolucji z ust jego wyrwa się żałosna
skarga: „Co za nieszczęście przeżywać taką
rewolucję w moim staniu! Powinienem być
umarł — lub być zdrow!“

Wiosna ludów wyparła na powierzchnię
ukryte młode pędy, lecz chłód reakcji nie
pozwolił im dojrzeć. Heine, niezrażony wy-
nikami bohaterskich zmagających i nieosłabiony
psychicznie długotrwałą chorobą, zachował
do końca życia wiarę w zwycięstwo rewo-
lucji. Za jej bojowników uważał on tylko ży-
woły najradzykalniejsze, którym obca jest
wszelka chwiejność i połowiczność. Liberal-
izm niemiecki był dlań czemś martwym;
jedyną realną siłę widział on w komunizmie,
który podbił go „straszliwą konsekwencją
doktryny“. „Jawni lub tajni przywódcy nie-
mieckich komunistów są wielkimi logikami.
Najmocniejsi wśród nich wyszli ze szkoły
Hegla: są oni bez wątpienia najzdolniejszymi
głowami i najdzielniejszymi charakterami
w Niemczech. Ci doktorzy rewolucji i ich
nieubłagane zdecydowanie uczniowie są je-
dynymi ludźmi w Niemczech, w których pul-
suje życie. Do nich należy przyszłość“.

Problematy, które wysuwał i uświślał roz-
wiązać ten mózg, utkany — według słów
Teofila Gautier — z promieni i myśli, wy-
biegały daleko poza granice epoki: są one
dzisiaj bardziej może aktualne, niż w cza-
sie działalności pisarskiej Heinego, nie tylko
w Niemczech, lecz w całej Europie. 70 lat
snu grobowego nie odmiłło Heinego od ży-
cia. I nie zwrociło ku niemu szowinistycznego
filistra niemieckiego, dla którego Heine jest
 nadal „świnia na Montmartre“, jak go do-
bitnie po niemiecku nazwał jeden z tygodni-
ków nacjonalistycznych.

chenterowi udowodnić obrzezania, spróbo-
wano zapisać ich przemocą do III. Między-
narodówki“. „Widocznie są u nas tacy „lite-
raci“, którzy nie tylko nie rozumieją rzeczy
czytanych, lecz jeszcze własną marność na
gwałt pragną mówić w drugich“. Cieszymy
się każdym głosem kulturalnym, który nas
rozumie. Cieszymy się tembardziej, że ataki
„z obozów ciemnoty i złej woli“, do których
już przyzwyczailiśmy się w tak krótkim okre-
sie naszej pracy i na które nawet bardzo
rzadko odpowiadamy, zaczynają wchodzić
w sferę zacietrzewienia, którego nie można
przełamać żadną racjonalną dysputą. Bę-
dziemy bardzo zadowoleni, jeśli przyjaciele
nasi skondensują się w podobnie obwaro-
waną grupę, jak nasi nieprzyjaciele. Wtedy
będziemy pewni słuszności i mocy naszych idej.

KONKURS „GAZETY LITERACKIEJ“
NA NOWEŁĘ

Z NAGRODAMI

500 i 250 ZŁOTYCH

Nowela nie może przekraczać 300 wierszy. Termin nadsyłania prac upływa
z dniem 31 maja b. r. W konkursie mogą wziąć udział tylko abonenci „Gazety
Literackiej“, którzy wpłacili przynajmniej półroczną prenumeratę.

Szczegółowe warunki konkursu zawiera Nr 5 „Gazety Literackiej“ z dnia
1-go kwietnia 1926 roku.

DZIAŁ KRYTYCZNY

Jalu Kurek: »Kim był Andrzej Panik? Andrzej Panik zamordował Amundseną«. Powieści autobiograficzno-sensacyjna. Nakładem »Zwrotnicy«. Kraków 1926. Str. 46.

I.

Jeśli Jalu Kurek może kilkakrotnie w swej »powieści« powtarzać, że jest poetą, czyli stwierdzać fakt znany, mogę i ja stwierdzić fakt mniej znany i raz oświadczyć, na wspiercie tej recenzji, że też jestem poetą. Oświadczenie to jest bardzo ważne w pierwszym rozdziale niniejszej recenzji, w drugim bowiem oświadczyć rzecz inną. A więc ze stanowiska poety:

Oto książka niezwykle oryginalna, porywająca poezją swej prozy. Nareszcie coś, w dziedzinie powieści naszej, niezwykłego; nareszcie coś w swym rodzaju pierwszego, niepowtarzanego, indywidualnego.

Nie obchodzi mnie Amundsen, nie obchodzi mnie Panik, obchodzi mnie Jalu Kurek. Poeta fantazji. Rozwiczony postrzeleniec. Najsympatyczniejszy warjat.

Powieść jego widzę rzuconą na filmie zdławionym nerwową czkawką współczesności. Filmie dusz. Ich przeżyć wewnętrznych. Ich uczuć. Filmie dziwacznie naiwnym, nieumotywowanym, z którego poszczególnie fragmenty wyskakują gejerem tęczośnej wyobraźni, a z diafragm patrzeć głębokie oczy oryginalności, która daje życie.

Fabula: jest w Krakowie szewc, nazywa się Andrzej Panik, jest przyjacielem Jalu Kurka, przed śmiercią wyznaje mu, że jako pilot Amundsen zamordował wielkiego podróżnika polarnego w okolicy bieguna, by mógł na biegunie zatknąć flagę swej ojczyzny, Bośni. Malnoe, współtowarzysz Panika, wziął na siebie nazwisko Amundsen i do dziś uchodzi za niego.

Ta fabula przeplatana jest lirycznymi fragmen-
tami, odnoszącymi się do życia autora powieści. Po przeczytaniu książki Jalu Kurka, każdy, kto o tem nie wiedział, dowie się, że Jalu Kurek jest współpracownikiem »Głosu Narodu«, że robi tam kronikę zamiejscową, kino i modę, że uwielbia swego redaktora Matysika, dowie się, w kim Jalu Kurek się kochał, kocha i kochać będzie, jaki jest rozkład jego dnia, z kim się przyjaźni, jaki jest jego stosunek do Uniwersytetu Jagiellońskiego i t. d.

Na każdej stronie napotykam na ekscy-
fantazji, na wybrzyk oryginalności. Zaskoczenie jestem przez gwałtowne crescendo i gwałtowne minuendo techniki książki... Z rozkoszą wgłębiam się w poezję nastrojów, łowię opisy liryczne Krakowa, witam mych dobrych znajomych i znajome, którzy (po nazwisku) występują w powieści.

I cieszę się nadwyraz, że ukazała się książka tak barwnie, tak ekscentrycznie, tak sprytnie

II.

napisana — sprytnie — tak — lecz tu — już drugi rozdział mej recenzji. Tok mych zachwyców przerwała sroga rymaska dwójka...

Zgodnie z przyrzeczeniem, oświadczam, że jestem także krytykiem. Zaznaczam, że wiem o tem, iż wielu uważa mnie za zbyt surowego — nie przeczę i nie tłumaczę się — niech więc i Jalu Kurek się nie dziwi moim słowem, które napiszę teraz, w rozdziale drugim, gdy skończyła się recenzja moja, jako poety.

Wilde — zdaje mi się — powiedział, że nie każda oryginalność jest piękna. Dodam: nie każda oryginalność jest — sztuką. Autobiograficzno-sensacyjna powieść Jalu Kurka jest oryginalna, nie mniej jednak nie stoi w żadnym stosunku do sztuki. Słowo »spryt«, rzucone na papier, zabiło recenzję poety. To słowo »spryt« zabija powieść Kurka, jako rzecz, chcąc być sztuką, literaturą piękną k. zw. (!).

Do sztuki nie dostaje się sprytem, lecz — pracą. Ktoś powie: talentem. Głupstwo! Talent — to cząstka, praca — to wszystko. Gleba może być najurodzajniejsza; jeśli nie uprawisz jej i nie obsiejesz, plonu nie będzie żadnego. Jalu Kurek ma talent, lecz nie wie, co to praca. »Powieść« jego — to najwspanialszy przykład lubzerji literackiej. To łatwe przeciskanie się przez szparę uchylonych drzwi, zamiast gwałtownego tych drzwi wyrzucenia z zawiasów. Powieść ta — to mimo zaprzeczeń autora — tylko pamiętnik (fantastycznych zdarzeń). Lecz zaręczam Jalu Kurkowi, że — o zakład idąc — potrafi każdy z nas, młodych literatów, napisać detto! Tylko — pomysły warjaki: zamordowanie Amundseny. To była sztuczka znaleźć taki pomysł. Lecz ktoś inny obmyślił zamordowanie innych najslawniejszych w świecie osobistości, np. Marinetti'ego, Pusłowskiego, Shaw'a lub Smosarskiej — przeprowadzi go na dwu stronach, jak to uczynił Kurek, a resztę zapełni — pamiętnikiem, luźnie związanymi kartkami, gdzie będzie i śmierć zakon-
nika i pocałunek w bramie podczas deszczu i traktat o prof. Chrzanowskim i opis pedu red. Matysika przez ulicę św. Anny i zachód słońca nad Wisłą i co kto chce.

Zarzucać Kurkowi nieekonomiczne postępo-
wanie względem samego siebie i nieetyczne po-
stępowanie względem czytelników.

Powieść Kurka na gruncie niekrakowskim nie
wzbudzi nawet cienia zainteresowania. Tu w Kra-
kowie, dla nas, krakowian, którzy znamy wystę-

pujące w powieści osoby, a więc red. Matysika, samego autora powieści, prof. Chrzanowskiego, K. H. Rostworowskiego, O. Rizzo'ego, pannę Regę, Peipera, Brauna i t. d., dla nas powieść ta może stanowić interesującą literaturę (niekrytyczną), ale dla Warszawy np., która może coś wie o Rostworowskim (»Antychryst« w teatrze im. Fredry), co o Peiperze (recenzja Millera w »Wiadomościach Literackich«), co o Braunie (z »Gazety Literackiej«), ale nie wie np. o p. Redze — powieść nie będzie nawet z tego powodu, co dla nas, zajmująca.

Chcę tu podkreślić jedną rzecz: niesmacznym w najwyższym stopniu jest dziecinne autoreklamowanie się Jalu Kurka w jego własnej powieści. Co nas to obchodzi, co Jalu Kurek robi, gdzie wycina kroniki, gdzie i kogo całuje, czego nie robi na Uniwersytecie i t. d. Jakże niemą jest ta reklama, jak bardzo traci pieluszkami. »Już wszyscy wiedzą, że »mafarka« jest moim pseudonimem«, »jestem przyjacielem Marinetti'ego« — i t. d. Zdaje mi się, że każdy z literatów używa pseudonimu — i to właśnie po to, by nie każdy o nim wiedział. Również mam wrażenie, że wielu z nas ma przyjaciół zagranicznych, że wielu z nas posiada obce języki, że każdy z nas całuje hur-
townie dziewczętą (tylko nie te z »zimmami, bez-
dźwięcznie podanymi wargami« (brr...), jak Kurek) i nie po bramach przyzwitoich domów, jak Kurek, że każdy prawie z nas jest dziennikarzem... Nie są to więc szczegóły życiowe wyłącznie dla Kurka, charakteryzujące wyłącznie jego osobę wewnątrz i zewnątrz; a więc są to, de facto, rzeczy po-
spolite i nudne, poczynawszy od dziennikarstwa a skończywszy na całowaniu à la Kurek. Poco o nich pisać? Poco się tem autoreklamować, czemu może zaautoreklamować się każdy?

Rozdział II niniejszej recenzji jest przeszło dwa razy dłuższy od rozdziału I. Nic dziwnego. Jako poeta zachwycać się wszystkim, entuzjastycznie się mogę nawet ustami dziewcząt, jako krytyk, uważam za swój obowiązek powiedzieć całą prawdę, surową a szczerą, uważam za swój obowiązek jasnie zawołać: to nie jest literatura, to nie jest sztuka, choćby tem miał zrobić przykreść Jalu Kurkowi, którego bardzo lubię i bardzo cenię, którego wierszem »Amundsen« (w poprzednim Nrze »Gazety Literackiej«) byłem zachwycony — i w którym widzę więcej możliwości prawdziwie artystycznych, niż — sądząc z jego »powieści« — on sam w sobie dostrzega.

Witold Zechenter.

Jerzy Sosnkowski: »Auto, ty i ja«. — Biblioteka Wydawnicza, Warszawa.

Książka ta jest, jak młody, elastyczny efeb, biegnący ku słońcu po prostym gościńcu, skro-
pionym rosą połyskliwych słów. Fascynuje ścią-
się automobylowym rozpędem i wywołuje wrażenie
sprężystości i rozkołysań. Apoteoza maszyn i
zmehanizowanego życia dwudziestego stulecia
(które uwielbia bohater książki młody inżynier
Pol), wcale nie zgłasza tu czadom benzyny
i smarów fabrycznych odurzającego aromatu po-
ezji. Poezja uczucia w postaci pewnej czarującej
osóbki, osacza triumfalnie sztucznie oziębiane
serce inżyniera, które ten opancerzył rzekomo
niezruszoną filozofią hegemonii intelektu.

W czasie przejażdżki autem po kraju, odbywa-
nej w towarzystwie aktorki Izzy Lamsee, Pol
ulega nieszczęśliwemu wypadkowi. W gorące-
mawiedza go potworny majak: rewolucja maszyn,
tych jego uwielbianych maszyn, które wypowie-
dowały ludziom służbę i miażdżąc ludzkość same
organizują nowe życie maszynowych społeczności
z preraźliwie zmehanizowaną dokładnością. Jak
nowi Rzymianie inscenizują machiny straszne
»porwanie Sabine« (miłość maszyn). Wstrzą-
sający grozą tego snu Pol po powrocie do zdro-
wia zaczyna zdawać sobie sprawę z ogarniają-
cego go uczucia. Miłość zwycięża.

Niezwykłe oryginalny pomysł autora powieści,
został przez niego wyeksplloatowany bez zarzutu.
Język kolorowy i musujący pianą pachnących
słów, zdania polerowane błyszczą, jak karoserie
automobilów, a świetne obrazy wznoszą się jeden
za drugim, jak semafor.

Słabą stroną powieści są pewne niedociągnię-
cia psychologiczne, których zresztą żaden debiut
powieściopisarski nie może być pozbawionym.
Także opis buntu maszyn jest za mało przekon-
nyjący.

J. B.

Wacław Urbankowski: »Płonące fon-
tanny«. Warszawa — Skład główny: Tow-
Wydawnicze »Głnisz«. »Błękitne serce«. War-
szawa. Wyd. E. Rogozińskiego 1925.

»Płonące fontanny« — to jaskrawe, szumiące
fajerwerki, syjące tęczami isker. Forma wierszy
dość banalna, a poza nią napróżno szukałbyś
podglebnej, sycającej treści. Oczy Urbankowskiego
utkwione w złotą fatamorganę napuszystych ma-
lowideł, nie dostrzegają w wirówisku zjawisk po-
tężnych falowań rzeczywistości. Ta powódź słoń-
i księżyców, kwiatów i klejnotów, a nadewszystko
tętniących wachlarz kolorów nuzi i nie daje
wrażenia poetyckiej syntezy. Nie widzimy obra-
zów, jeno barwne plamy. Ta przemiana rzeczy-
wistości w pstry witraż, to przesnuwanie świata
kurkowską mgłą na jednak urok. Rzuca czar —
może zbyt wiotki, ale odurzająco miły. Poezja
Urbankowskiego, to jakby brokatowa suknia,

JERZY BRAUN

PROZA

I.

Napoprzek błękitnych wierszy z grzmotem
[nadciga
oleista, pożywna, jak tran i jak dzban po-
[jemnie okrągła.

Z grubych książek, z dna mózgów wylewa
[się, jak rzeka
na garbach fał niosących tysiąckrotne odbicie
[człowieka.

Faluje w kołysach ogromnych, w kurzawach
[i tętentach,
od ciosów jej miasta się chyboć, jak ciężkie,
[ładowne okręty.

Słyszę ją w szumie rozmów, w gwizdach
[orient-ekspresów
— na drogowkach współczesności recy-
[tuje ją milion biesów.

Proza dudniąca, dymiąca, 'aromatyczna, jak
[ciasto,
depce łomotem podezwes czar poetycznych
[astrów.

Poezja codzienną w nią wsiąka, jak w wielki,
[wilgotny wazon.
Wzrośnie zeń kwiat olbrzymi, większy od
[słońca tak razy.

W studniach otchłannych książek Bóg się
[przegląda gwiazdami.
Życie w łańcuchach czczonego śpiewa, a w ży-
[ciu my sami.

II.

Jest wiele księgarń na ziemi, a na półkach
[wiele powieści.
W każdej z nich dziwny człowiek sam stre-
[ścił się i pomieścił.

Widzę w nich czarną prozę, jak węgiel
[spiętrzony w stosy
i widzę przekrój stulecia rąknięty krawawym
[ukosem.

Proza miliardem ssawek wysysa sok z ta-
[jemnic.

Proza, jak grzmący wiatr płonąc przechodzi
[przezennie.

Jęczy w niej ból kowadeł, smaganych cio-
[sami kuźni
i dłoń wyciąga człowiek do niebios po
[jałmużnę.

Kapitan Conrad na masztach osadził ją, jak
[sztandar,
i prześwieciło ją słońce w czarodziejstwach
[Romain Rollanda.

O epopejo współczesności, stłucz jak szkło
[moje wiersze,
rozedmij mnie w przestrzennosci najgłębszą
[i najszerzą.

O dar studzownej prozy w prochu mych
[rytmów cię błagam.
Przewieję przezennie tłum słów i kształtów
[twich huragan.

MARJAN SEWI

PRELUDJUM

Kocham Cię, lesie, lecz śpiewać Ciebie nie
[śmiem, nie umiem.
Pocóż zresztą śpiewać Ciebie, kiedy Ty
[tylko — szumisz,

Żywicą wonną ociekasz, sosnowemi oddy-
[chasz płucami.
Strzelistym zielonym szczytem ku nieba się
[wzbijasz przystani.

Uczczą Cię pięknymi wierszami: Leśmian,
[Staff, Zegadłowicz —
Ja tylko wiecznie się dziwię, czemu mie-
[szkać muszę w Krakowie,

Czemu, co roku, nieziemnie, oszczędzać
[musi pięknym,
Na jeden mój leśny miesiąc — jedenaście
[moich miejskich miesięcy...

przeładowana ozdobami, lub ornat zbyt gęsto
naszyty paciorkami i szystem.

Z chaosu słów czerwonych, zielonych i srebr-
nych wytryskują tu i ówdzie naprawdę piękne
zwroty i powiedzenia, zdradzające rzetelnego poe-
tę. Da się to zauważyć zwłaszcza w drugim tomie
(»Błękitne serce«), gdzie czuje się pływając po-
przez gęstwinę wierszy świeży, wiosenny powiew
naddciągający prostoty. Forma »Błękitnych sere«
bliższym w możliwościach jej talentowi, zdała
się mody asonansowej« i dostrajał uważnie swój
instrument poetycki do tonów sezonu (co jednak
nie powinno podlegać zbyt surowej krytyce, jako
że jest to słabostka powszechna).

Zgławicy tych dwu debiutów tomików
wyłania się przed nami zapowiedź prawdziwego
talentu.

J. B.

Hanna Mortkowiczówna: »Dzień Krysi«. Napisała i narysowała... Tow. wyd. w War-
szawie 1926. Przemiła książeczka co do treści, jak
i co do ilustracji. Bardzo dobry podarunek dla
małych Kryś. P. Mortkowiczówna, która w »Ja-
rzębinach« wykazała fachową znajomość Staffa,
Lechonia i Leśmiana, w »Dniu Krysi«, daleko
bliższym w możliwościach jej talentowi, zdała
egzamin celujący ze znajstwa Ilakowiczówny
i dzieci. Na drugi raz: zapomnieć o »Jarzębi-
nach«, zapomnieć o Ilakowiczównie — i stwo-
rzyć piękną, estetyczną i prawdziwie kobiecą li-
teraturę wierszowaną dla dzieci, której brak daje
się dotkliwie odczuwać (dzieciom).

W. Z.

KATOWICKI „TEATR POLSKI“

Teatr katowicki, to najlepiej wyposażony teatr prowincjonalny w Polsce. Subwencje: rządowa, wojewódzka i miejska umożliwiają mu prowadzenie tak kosztownego działu, jak opera. Opera ta jest zaś — po warszawskiej — najlepszą w Polsce. Kierownikiem jej jest p. Górzyski. Wysoki poziom, na jakim stanęła opera, jest przedewszystkiem jego zasługą. W świecie muzycznym ma zresztą wyrobioną markę. Obecnie wyjechał do Wiednia. Będzie w tamtejszej Volksoper prowadził próby z „Halki“.

Przedstawienia operowe cieszą się wielkim powodzeniem. Nawet Niemcy uczęszczają na nie tłumnie, a dzienniki „Kattowitzer Zeitung“ i „Oberschlesischer Kurrier“ niejednokrotnie dały wyraz swojemu zachwytowi. Wcale ciekawe wyjazdy opery do Bytomia stale były uwiecznione powodzeniem.

Co do dramatu musimy podkreślić działalność dyr. Biernackiego, który, mimo konieczności kasowych, od czasu do czasu wystawia sztuki o wysokim poziomie.

Zarówno dramaty, jak i opera często wyjeżdżają na prowincję. Cieszy, Bielsko, Królewska Huta, Rybnik, Pszczyna, a zagranicą Bytom i Gliwice, to etapy podróży artystycznych. Według konwencji bowiem teatr niemiecki ma zagwarantowanych dziesięć występów (w tem jedną niedzielę) miesięcznie. Wolne terminy dyrekcja wykorzystuje przeto na wyjazdy.

Kilka sztuk, wystawiono okazało. Świetne dekoracje kompozycji młodego a utalentowanego artysty-malarza Hieronima Zwolińskiego, spotykały się z aplauzem zarówno prasy polskiej, jak i niemieckiej.

Przejdźmy do ostatnich premier.

„Wiera Mircewa“, Urbanowa, reżyserowana przez p. Tańskiego, mogła się podobać.

Wykonawcy sprowadzi zadaniu. Reżyser odtworzył charakterystyczną postać Pabiarina wprost świetnie. Bardzo dobry był p. Polański w roli sędziego śledczego Starobielskiego; dość blado wypadły postacie Mircewa i adwokata Żegina, w interpretacji pp. Glińskiego i Jaroszyńskiego. Wierę Mircewą odtworzyła znakomicie p. Michorowska, tak, że zapomniało się o jej wewnętrznej aparatury, niezbyt predestynującej ją do tego rodzaju ról. Bardzo dobrze zagrała Starobielską p. Ordynska, choć temperament poniał ją w stronę groteski. Inne postacie — (figuranci) nie dawały pola do popisu.

„Ułani ks. Józefa“, Mazura, to barwny i grający na sentymencie patriotycznym wodevil bez wartości literackich. Na czoło wykonawców wysunęli się pp.: Kliszewska, Ordynska, Senowski, Puchalski i Kawczyński. Reżyserja trochę szwankowała.

O premierze „Strasznego dworu“ trzeba tylko powiedzieć stylem archaiczno-recenzyjnym, że udało się w zupełności i pomnaża świetny dorobek tutejszej opery.

W najbliższym czasie wchodzi na afisz sztuki: „Bitwa pod Waterloo“, „Ślub paniieńskie“ oraz opera „Tosca“.

Ankr.

KRONIKA

— **Wystawę zbiorów państwowych** otwarto ostatnio na Zamku królewskim w Warszawie. Przeciwnie niertetycznemu zaaranżowaniu wystawy, wystąpił w prasie warszawskiej Józef Czajkowski, znany malarz i znawca dekoracyjnej sztuki, nagrodzony niedawno na wystawie w Paryżu.

— **Adam Grzymała Siedlecki** zamieścił ostatnio w „Słowie Polskiem“ w kilku odcinkach, ciekawe studium p. t.: „Świat lwowski w komedji Fredry“.

— **Artykuł prof. Flacha** w Nowej Reformie z dnia 13 b. m. p. t.: „Dzisiejsza młodzież“ podnosi śmiało i słusznie wyższość dzisiejszego pokolenia nad wiekiem schyłkowców rozmarzonego i alkoholicznego romantyzmu. Charakterystyka nas praca — praca — praca!...

— **Józef Wittlin**, utalentowany poeta, wystąpił 9 b. m. w Łodzi z odczytem o św. Franciszku z Asyżu. Słyszeliśmy go ostatnio w styczniu w Krakowie. Sposób jego mówienia i samo ujęcie są dalekie od zewnętrznego efektu, ale przez swoją bezpośrednią szczerść i głęboki koloryt wyobraźni twórczej, zapisał się nam żywo w pamięci. Rozmyślenia Wittlina na temat mistycyzmu i miłości świata duchowego św. Franciszka, oparte na gruntownym przestudiowaniu materiału, mają dziwny dar przenoszenia słuchacza z epoki strzelistych wieżeczek gotyckich do zagadnień drutów i maszyn współczesności.

— **W Łodzi powstaje Klub artystyczno-literacki** za inicjatywą M. Dzięń-Dąbrowy, Wacława Sieroszewskiego i Józefa Wittlina.

— **Gilewski Stanisław**, portrecista papieża Piusa XI, po przyjeździe do Warszawy, wykonał portret premiera Skrzyńskiego. Niebawem wyjeżdża do Pragi, gdzie otrzyma zaszczytne zamówienie portretowania prezydenta Rzeczypospolitej Czechosłowacji, Masaryka.

— **Tadeusz Wieniawa Długoszewski** wygłosił 9 b. m. w Łodzi odczyt p. t.: „Wina i kara“.

— **Tow. Miłośników historii w Poznaniu** zwróciło się z apelem do społeczeństwa, aby zapisywano się na jego członków (wpłaty 8 zł rocznie). Dodać należy, że Tow. liczy obecnie zaledwie 60 członków po czterech latach zaśluzonej działalności, podczas gdy Niemcy w pierwszym roku istnienia dla „Historische Gesellschaft für die Provinz Posen“ zorganizowali 500 członków. Tow. rozporządza olbrzymimi materiałami do historii polskiej, które winny być wydane.

— **Pani Kriegerowa** wdowa po właścicielu zakładu fotograficznego w Krakowie, przechodząca z ojca na syna od dziesiątków lat, ofiarowała gminie miasta cenne muzeum tysiąca klisz, fragmentujących stare, często nieistniejące już zabytki miasta.

— **Rajmund Bergel**, ceniony krytyk literacki i poeta, pracuje obecnie nad zbieraniem materiałów do historii literatury „Najmłodszej Polski“.

KRONIKA ZAGRANICZNA

— **„Dziady“** wyszły po angielsku w przekładzie Doroty Prall Radin z uwagami prof. G. R. Noyes, kierownika Instytutu słowiańskiego przy uniwersytecie w Kalifornii.

— **„Wonderful London“**. W Londynie ukazało się wspaniałe dzieło pod powyższym tytułem. Zawiera ono w 2 tomach 1000 artystycznych fotografii, obrazujących w zupełności największe miasto Europy, oraz 100 artykułów o Londynie, skreślonych przez 70 najsławniejszych pisarzy angielskich.

— **„Spisek przeciw królowej Elżbiecie“**. Interesującego tego dzieła historycznego („The plots to queen Elisabeth“) ukazał się obecnie tom drugi, zawierający nowe listy Fuggera, w przekładzie L. S. R. Byrne.

— **Nowa powieść C. R. Allen'a**, ślepego powieściopisarza angielskiego, ukazało się świeżo pod tytułem „Brunatna bluzka“. Pierwszą powieść tego utalentowanego autora nosi tytuł: „Piękno okrętu“.

— **„Genjusz ofiar wojny“**. Pod tym tytułem zamieszcza „The Daily Mail“ recenzję z wystawy obrazów Brian'a Hatton, urzędowej w „Walker's Galleries“ w Londynie. Hatton, w 29 roku życia, padł na wojnie. Już od 8 roku życia malował obrazy o wielkiej wartości. Dwa główne obrazy Hatton'a: „Człowiek z kołniami“, akwarela i pastel, wzbudzają wprost entuzjazm krytyki.

— **Wiecznie uśmiechnięty Shaw**. Młody pisarz angielski, Gilbert Frankau, urządził w Nowym Jorku cykl odczytów przeciw Bernardowi Shaw. Na wiadomość o tem Shaw powiedział reporterom, że żyjący Frankau'owi pomyślności i sądzi, że ten robi na krytyce jego wielki majątek. „I tak nikt nie uwierzy w to, co on on powie o mnie — mówił Shaw — a przecież p. Frankau musi o czemś mówić“. Frankau zarzucał Bernardowi Shaw i Wells'owi udany socjalizm, Wells'a nazywa destrukcjonistą, a o Shaw'ie wyraża się, że zupełnie nie zasługuje na to uznanie, jakie go otacza. Ten wiecznie uśmiechnięty Irlandczyk, genialny pisarz świata, z pewnością wpadłby w czarną melancholię lub w szewską pasję, gdyby dowiedział się, jak krakowska cenzura teatralna obciążyła jego „Joannę“. Może się o tem dowie — a odpowiedź jego zakomunikujemy naszym czytelnikom.

— **Mary Garden**, słynna śpiewaczka nowojorska, wystąpi tego lata w Paryżu w nowej operze „Rezurekcja“, granej ub. r. w Chicago z niesłychanym powodzeniem. Operę tę, opartą na tekście Tolstoja, napisał młody kompozytor włoski, Alfonso.

— **Znany publicysta francuski, Edouard Champion**, wyjeżdża do Ameryki z cyklem interesujących odczytów o światowej sławy pisarzach, których poznał w swem życiu osobiście. Między innymi będzie mówił o Anatolu France, Pawle Bourget, Gabrielu Monod, Edwardzie Rostand i t. d. Champion, syn księgarza, już w 15 roku życia wydał dzieło o Ludwiku Ménard, dedykowane Maurycemu Barrès. Wydaje on 14 pism, i jak twierdzą znajomi jego, dyktuje dziennie 200 listów i przyjmuje 80 wizyt! Jest założycielem „Revue de littérature comparée“.

— **W księgarńi przy Quai Malaquais** w Paryżu był gościem codziennym France, a obecnie stale we czwartki i piątki schodzą się tam na pogadanki pisarze tej miary, co René Bazin, Paul Bourget, Paul Valéry, Gabriel Hanotaux i t. d.

— **Opisom uroczystości imieninowych marszałka Piłsudskiego** poświęca „The Chicago Tribune“ z dnia 29 marca przeszło pół strony. Zamieszcza dwie fotografie i portret marszałka.

— **Benito Quinquela Martin'a** wystawa obrazów w Paryżu cieszy się wielkim powodzeniem.

— **Catullus** został w całości przełożony na język angielski przez Hugh Macnaghten'a.

— **Donn Byrne** wydał nową powieść pod tytułem „Hanyman's House“.

— **Pamiętniki Leona Daudet** przetłumaczy na angielskie A. K. Griggs.

— **„O Francji i Francuzach“** interesujące studium napisał Sisley Huddleston.

SZTUKI PLASTYCZNE

— **Polscy artyści na wystawie w Wenecji**.

W tegorocznej międzynarodowej wystawie sztuki w Wenecji wezmą udział: Awentowski, Czajkowski, Filipkiewicz, Jarocki, Kamocki, Kędziński, Mehoff, Pautsch, Pieńkowski, Pruszkowski, Sichulski, Skoczylas, Ślejdziński i Weiss.

— **Wystawa obrazów Mieczysława d'Erceville**, wychowanka krakowskiej Akademii sztuk pięknych, została otwarta w Paryżu w „Galerie de l'Etoile“.

— **Twórca wspaniałego pomnika Adama Mickiewicza**, Antoni Bourdelle, tłumaczy ideę swego dzieła w „La Pologne“.

— **Obrazy Eugenjusza Łaka** zostały wystawione na retrospektywnej wystawie członków „Salon des Independants“ w Paryżu, wśród dzieł Cézanne'a, Cousturier'a, Dorignac'a, Dulac'a, Van Gogh, Modigliani'ego, Redou'a, Henryka Rousseau, Senrat'a, Schnegg'a, Steinen'a, Toulouse-Lautrec'a, Vallotton'a i Willette'a.

— **Jan Henryk Rosen** wykonuje polichromię katedry ormiańskiej we Lwowie.

— **Pośmiertną wystawę prac Ignacego Marka** otwarto w warszawskiej „Zachęcie“.

— **Pośmiertną wystawę prac Eugenjusza Łaka** projektuje „Rytm“ w salonie Garlińskiego w Warszawie.

— **Wystawa rzeźb Ernesta Barlacha** została otwarta w salonie firmy Paul Cassirer w Berlinie.

— **Wystawa pośmiertna przeszło czterystu obrazów Lovisa i Corintha** została otwarta w Galerji Narodowej w Berlinie.

— **Bolszewizm na płótnie**. W Charkowie wielkim powodzeniem cieszy się wystawa „Rosyjskiego Związku malarzy rewolucyjnych“. Znajdziemy na niej m. in.: Goresłowa „U grobu przywódcy“ i „9.1. 1905“, Brodzkiego „Drugi kongres kominternu“, Belija „Śmierć Lenina“, Dormionta „Mikołaj II z rodziną“.

KRONIKA TEATRALNA

— **Znany ostatni skandal teatralny**, o zbuntowaniu się aktorów Teatru Polskiego przeciwko witkacowskiemu „Tumorowi Mózgowiczowi“, zrobił w prasie huczek niemały. Pośród wzburzonych pior, jedynie Z. Nowakowski („Gazeta Poranna“) i Karol Irzykowski („Robotnik“, dwa duże fejetony z 7 i 8 b. m.) zajęli stanowisko przeciwne Witkiewiczowi. „Aktorom wolno brykać, gdy widzą, że literaci sami sztuki nie szanują“ — decyduje Irzykowski — „i to nie tylko jako autorzy produkujących koszałki opalki, lecz i jako krytycy nie pilnujący precyzji i pełni wykonania...“

Ostatni zjazd Z. A. S. P. uznał, że Samborski miał prawo odrzucić rolę jego talentowi nie odpowiadającą Ciekawym przyczynkiem do tej całej sprawy jest to, iż przed kilku laty po raz pierwszy wystawiony w Krakowie przez Trzcńskiego „Tumor“ minął przecież tak spokojnie, jak do wcip, z którego nawet zredukowany oficer austriacki po kilku dniach śmiać się nie mógł.

Witkiewicz — słusznie, czy nie słusznie, co zresztą przyszłość okaże, winien zażywać tej swobody ruchów na scenie, którą w testamentem swoim Wypiański („Wesele“) wyznaczył wszystkim aktorom, zanic i wylegną się z poczwerek w motyle.

— **Ordon Sosnowska**, występująca gościnnie nadal w Teatrze Małym we Lwowie, dała tym razem świetną kreację w „Lekkomyślnej siostrze“.

— **Premjera „Zemsty za mur graniczny“ opery Zyg. Noskowskiego** (według Fredry) odbyła się w Warszawie 10 b. m.

— **Nowa komedia Kiedrzyńskiego** p. t.: „Wino, kobieta i dancing“ weszła na afisz Teatru Polskiego w Warszawie.

— **W „Keducie“** idzie „Djabł i karczmarka“ I. Krzywoszewskiego z Jul. Osterwą i I. Osterwiną w rolach głównych. Najbliższe premjery: „Głaz graniczny“ Zegadłowicza, „Lekkoduch“ Szaniawskiego, „Książę niezłomny“ Calderona i „Sen nocy letniej“ Szekspira.

— **Frekwencja w teatrach warszawskich w marcu** — marna. W Operze przedstawienia wieczorne wykazywały przeciętnie 44,3 proc. kompletu kasowego (w porównaniu z lutym — bez zmiany), w teatrze Narodowym 28,6 proc. (w lutym — 36,4 proc.), w teatrze Letnim 34 proc. (30,7 proc.), w teatrze Bogusławskiego 49,9 proc. (51,7 proc.).

— **„Hanusia“ Hauptmanna** została przerwiona do opery Pawła Graenera. Premjera odbyła się w Dreźnie.

— **Artyści warszawscy** opowiadają w „Nowym Kurjerze Polskim“ swoje wrażenia na temat „czem są oklaski?“ Ankieta ma powodzenie i jest ciekawym przyczynkiem do neurastenicznej duszy aktora.

— **Za energiczną inicjatywą Macieja Szukiewicza** ma powstać w Krakowie, w Domu Matejki, muzeum teatralne im. Stanisława Wyspiańskiego, któremu magistrat Krakowa ofiarował na razie 1500 zł na rozbudowę.

— **„Biekitnego ptaka“ Maeterlinck'a** gra Teatr miejski w Łodzi. Reż. Konstanty Tatar-kiewicz.

— **„Bagateli“ i „Nowościom“**, dwu dogotywujących na niemoc talentów teatrom krakowskim, Z. A. S. P. na ostatnim zjeździe uchwalił udzielić zapomóg, celem przyspieszenia ich wyjazdu na prowincję.

— **„Golema“**, poemat dramatyczny G. Lejwika w reżyserji Wierszyłowa i przy ilustracji muzycznej Milnera, wystawił w Łodzi z dużym sukcesem, moskiewski teatr „Habima“.

— **Lucjusz Komarnicki**, zmarły ostatnio śmiercią samobójczą, pozostawił dziełko o teatrze szkolnym, jego celach i zadaniach.

— **„Rybałt“** teatr wędrowny S. Wysokiej wrócił do Warszawy z objazdu po 19 miastach kresowych z „Balladyną“ i „Starym kawalerem“ (Korzeniowskiego). Obecnie „Rybałt“ wyrusza na Pomorze.

— **„Wiedza i życie“**: Ukazał się zeszyt 2-gi miesięcznika popularno-naukowego p. n. „Wiedza i Życie“, przynoszący szereg ciekawych, bogato ilustrowanych artykułów. Zeszyt otwiera artykuł p. Janiny Szaferowej o polskiej podróży naukowej na Łofoty, najbardziej na północ wysunięte wyspy Norwegji.

Profesor S. Noakowski daje rzecz o architekturze Chaldei i Assyrii, ilustrowaną znakomitemi rysunkami tego wielkiego artysty. Profesor Sokolnicki otwiera serię artykułów o roli Polski w międzynarodowej polityce wielkich mocarstw wstępem studium o wojnie światowej. A. M. Rusiecki w artykule p. t.: „Coś nie coś o algebrze“ z niezwykłym talentem popularyzatorskim, głęboko oświetla tę ważną gałąź matematyki.

P. J. W. Kosmowska w żywo napisanym artykule daje rzut oka na odradzającą się Turcję współczesną.

P. J. Saloni daje ciekawe studium o poezji i prozie, wreszcie p. Wł. Weychert-Szymanowska omawia książki pomocnicze dla samouków (encyklopedje, słowniki etc.). Zamykają zeszyt: kronika polityczna, recenzje książek oraz konkurs naukowy z nagrodami książkowymi.

Całość wydana na doskonałym papierze, ozdobiona znaczną ilością pięknych ilustracji, robi w dzisiejszych trudnych warunkach wydawniczych imponujące wrażenie.

— **„Wiadomości Literackie“** Nr 15 z dnia 11 b. m.) przynoszą na tytułowej stronie interesujące korespondencje na temat polsko-włoskiego zbliżenia kulturalnego. Tenże Nr zawiera obszernie sprawozdanie Wacława Husarskiego o pomnikowym wydawnictwie: Dzieła malarskie St. Wyspiańskiego opracowane przez profesorów krakowskiej Akad. Sztuk Pięknych, Jarockiego i Pieńkowskiego, z tekstem Przybyszewskiego i Żuka-Skarszewskiego, o którym to dziele wzmiankowaliśmy w 4-tych Nr-ze „Gazety Literackiej“ 15 marca b. r.

Pisząc o atakach na „Gazetę Lit.“, podziela „Wiadomości Literackie“ nasze przekonanie, że „ordynarna i prostacka metoda“ oszczerstw, „jest bez żądla i nikogo nie oszuka. Nie trzeba z nią toczyć wojny, wystarczy ją od czasu do czasu mocnym słowem przygwoździć“.

— **W pałacu Sztuk Pięknych** w Krakowie otwarto wystawę najnowszych prac artystów z grupy „Jednoróg“. Wystawę tę omówimy obszerniej w następnym numerze „Gazety Literackiej“.

— **Wystawę portretów sławnych osobistości** otwarto w Krakowie w „Muzeum Narodowym“. Jest to druga część wystawy starych portretów królów polskich, bohaterów i w.i., które z braku miejsca spoczywają w piwnicach i magazynach.

— **Wystawę współczesnej grafiki polskiej** otwarto w Zamościu, staraniem zamajskiego Koła miłośników książki i Związku polskich grafików w Warszawie.

— **Wystawa portretów sławnych i zasłużonych Polaków**, otwarta niedawno w Muzeum Narodowym w Krakowie, obejmuje między innymi prace starych malarzy, takich, jak Grassi, Krafft, Bacciarelli, Rustan, Marteau, Pitschman, Antoni i Józef Brodowsky. Wielka ilość wystawionych portretów wyszła z pod pendzla artystów tej miary, co Grotter, Matejko, Malczewski, Wyczółkowski i Mehoff.

— **Lena Roman**, wdowa po sławnym, przedwczesnie zmarłym artyście polskim, przekazała zbiory po swoim mężu Muzeum teatralnemu im. Stanisława Wyspiańskiego w Krakowie.

O NAUCZANIU METODĄ KORESPONDENCYJNĄ W POLSCE SŁOW KILKA

W dzisiejszych czasach karygodnego i nieopiętego zubożenia społeczeństwa na zagadnienia kulturalne, gdy poziom intelektualny ogółu stale się obniża — należałoby zwrócić bacniejszą uwagę na wielką doniosłość nauczania metodą korespondencyjną.

Dziwić się trzeba i ubolewać, że tak mało mówi się u nas i tak rzadko omawia się w prasie tę sprawę, podczas gdy — jak wiadomo — na zachodzie metoda korespondencyjna rozwija się tak niebywale i tak znakomite wydaje rezultaty.)

Jeżeli u nas przyjęła się ona dotąd tak słabo, to przypisaćby to można chyba tylko tej dziwnej, a tak osławionej nieufności naszego społeczeństwa do wszelkich nowych eksperymentów, do wszelkich zdobyczy i doświadczeń lat bieżących, choćby one gdzieindziej najświetniejszymi chlubiły się sukcesami.

Liczne szeregi inteligencji pracującej zawodowo — zwłaszcza na prowincji — funkcyjnarzusz publiczni i prywatni, wojskowi, nauczyciele i t. p. pragnęliby uzupełnić częstokroć posiadane wykształcenie, lub też uzyskać cenzus naukowy, atoli wiek i zajęcia zawodowe, lub stosunki rodzinne uniemożliwiają im pobieranie normalnej nauki szkolnej. I tu przychodzi im z pomocą metoda korespondencyjna, przy której bez nauczyciela, nie przerywając zajęć zawodowych i nie opuszczając miejsca stałego pobytu, mogą przy pomocy pisemnych wykładów, opracowanych przez pierwszorzędne siły fachowe, osiągnąć pożądane wyniki.

Metodą powyższą udzielają nauki Powszechne kursa korespondencyjne „Matura“, „?“, instytucja o poziomie prawdziwie europejskim, pozostająca pod kierownictwem prof. dra Bronisława Świby. System nauki opracowany tam jest wprost wzorowo, a realizacja jego w praktyce nie odbiega od teoretycznych założeń. O szczegółach informują nader interesujące i wyczerpujące prospekty. Obok tego lekcyj ustnych udzielają osobom miejscowym w specjalnych salach P. K. K. ci sami profesorowie, oraz docenci Uniwersytetu, którzy opracowują pisemne wykłady.

Miejmy nadzieję, że w czasach drożyny książek i, gdy o dobrego nauczyciela na prowincji tak jest trudno, społeczeństwo, oceniając płynące dlań stąd korzyści, udzieli wybitnego poparcia instytucji, która w trudnych warunkach wydawniczych nie szczędzi kosztów i pracy dla rozpozwiechnienia tej tak użytecznej metody.

*) „International Correspondence School“ w Seranton (15.000 uczniów) lub „Ecole Universelle par correspondance de Paris“.

*) Kraków, biura ul. Karmelicka 35, sale wykładowe ul. Grodzka 60.

— **Wiedza i życie“**: Ukazał się zeszyt 2-gi miesięcznika popularno-naukowego p. n. „Wiedza i Życie“, przynoszący szereg ciekawych, bogato ilustrowanych artykułów. Zeszyt otwiera artykuł p. Janiny Szaferowej o polskiej podróży naukowej na Łofoty, najbardziej na północ wysunięte wyspy Norwegji.

Profesor S. Noakowski daje rzecz o architekturze Chaldei i Assyrii, ilustrowaną znakomitemi rysunkami tego wielkiego artysty. Profesor Sokolnicki otwiera serię artykułów o roli Polski w międzynarodowej polityce wielkich mocarstw wstępem studium o wojnie światowej. A. M. Rusiecki w artykule p. t.: „Coś nie coś o algebrze“ z niezwykłym talentem popularyzatorskim, głęboko oświetla tę ważną gałąź matematyki.

P. J. W. Kosmowska w żywo napisanym artykule daje rzut oka na odradzającą się Turcję współczesną.

P. J. Saloni daje ciekawe studium o poezji i prozie, wreszcie p. Wł. Weychert-Szymanowska omawia książki pomocnicze dla samouków (encyklopedje, słowniki etc.). Zamykają zeszyt: kronika polityczna, recenzje książek oraz konkurs naukowy z nagrodami książkowymi.

Całość wydana na doskonałym papierze, ozdobiona znaczną ilością pięknych ilustracji, robi w dzisiejszych trudnych warunkach wydawniczych imponujące wrażenie.

— **„Wiadomości Literackie“** Nr 15 z dnia 11 b. m.) przynoszą na tytułowej stronie interesujące korespondencje na temat polsko-włoskiego zbliżenia kulturalnego. Tenże Nr zawiera obszernie sprawozdanie Wacława Husarskiego o pomnikowym wydawnictwie: Dzieła malarskie St. Wyspiańskiego opracowane przez profesorów krakowskiej Akad. Sztuk Pięknych, Jarockiego i Pieńkowskiego, z tekstem Przybyszewskiego i Żuka-Skarszewskiego, o którym to dziele wzmiankowaliśmy w 4-tych Nr-ze „Gazety Literackiej“ 15 marca b. r.

Pisząc o atakach na „Gazetę Lit.“, podziela „Wiadomości Literackie“ nasze przekonanie, że „ordynarna i prostacka metoda“ oszczerstw, „jest bez żądla i nikogo nie oszuka. Nie trzeba z nią toczyć wojny, wystarczy ją od czasu do czasu mocnym słowem przygwoździć“.

— **W pałacu Sztuk Pięknych** w Krakowie otwarto wystawę najnowszych prac artystów z grupy „Jednoróg“. Wystawę tę omówimy obszerniej w następnym numerze „Gazety Literackiej“.

— **Wystawę portretów sławnych osobistości** otwarto w Krakowie w „Muzeum Narodowym“. Jest to druga część wystawy starych portretów królów polskich, bohaterów i w.i., które z braku miejsca spoczywają w piwnicach i magazynach.

— **Wystawę współczesnej grafiki polskiej** otwarto w Zamościu, staraniem zamajskiego Koła miłośników książki i Związku polskich grafików w Warszawie.

— **Wystawa portretów sławnych i zasłużonych Polaków**, otwarta niedawno w Muzeum Narodowym w Krakowie, obejmuje między innymi prace starych malarzy, takich, jak Grassi, Krafft, Bacciarelli, Rustan, Marteau, Pitschman, Antoni i Józef Brodowsky. Wielka ilość wystawionych portretów wyszła z pod pendzla artystów tej miary, co Grotter, Matejko, Malczewski, Wyczółkowski i Mehoff.

— **Lena Roman**, wdowa po sławnym, przedwczesnie zmarłym artyście polskim, przekazała zbiory po swoim mężu Muzeum teatralnemu im. Stanisława Wyspiańskiego w Krakowie.

MUZYKA

KRONIKA MUZYCZNA

Na ostatnim swym recitalu wykazał p. Drzewiecki ogromne pogłębienie tonu i perlistą technikę, kazać stawić go w rzędzie naszych najpoważniejszych pianistów. W programie monumentalne warjacje Brahmsa na temat Händla zakończone imponującą fugą, 24 preludów Chopina, z których jednak wykonawca niektóre zbyt zbagatelizował i 2 minjatury Debussyego. La Cathédrale englonée i Le vent dans la plaine. Dalej Ravel, Prokofiew, Granados, Albaniz, Wiener. Dwaj ostatni reprezentowani przez utwory dość słabe. Zławszcza Blues Wienera nie odpowiadała poziomowi reszty programu.

W Wielki Czwartek mieliśmy sposobność usłyszeć dwa oratoria. Pierwsze, to „Stabat Mater“ Rossiniego, wykonane przez zespół Twa muzycznego pod wytrawnym kierownictwem dyr. Walewskiego. Sam utwór, z rodzaju „oratorium świeckich“, zaznacza się muzyką lekką bez śladu cech stylowych, kościelnych.

Z „Chrystusa“ Liszta wykonało Two oratoryjne pod batutą dyr. Barańskiego dwie ostatnie części. Dzieło to oparte na starej melodice liturgicznej jest obok „Elżbiety“ najlepszą kompozycją Liszta na polu oratorium. Dla słuchacza XX w. nieco przewlekłe, ale słuchając musi się podziwiać głębokie odczucie stylu, monumentalne ujęcie, oraz barwną instrumentację, miejscami wprost impresjonistyczną (Cud na jeziorze).

W krążgankach OO. Franciszkanów odbyły się dwa wieczory Chóru Cecyljańskiego pod batutą O. Rizioego. Program zestawiony od Palestriny do Perosiego, tak, Perosiego, gdyż „Stabat Mater“ i „Responsoria“ O. Rizioego, ze względu na głębokie odczucie stylu można przesunąć o kilka stuleci wstecz, w epokę „starych mistrzów“. Z zadowoleniem stwierdziliśmy, że Chór Cecyljański ciągle pracuje i czyni widoczne postępy.

— **Wiedza i życie“**: Ukazał się zeszyt 2-gi miesięcznika popularno-naukowego p. n. „Wiedza i Życie“, przynoszący szereg ciekawych, bogato ilustrowanych artykułów. Zeszyt otwiera artykuł p. Janiny Szaferowej o polskiej podróży naukowej na Łofoty, najbardziej na północ wysunięte wyspy Norwegji.

Profesor S. Noakowski daje rzecz o architekturze Chaldei i Assyrii, ilustrowaną znakomitemi rysunkami tego wielkiego artysty. Profesor Sokolnicki otwiera serię artykułów o roli Polski w międzynarodowej polityce wielkich mocarstw wstępem studium o wojnie światowej. A. M. Rusiecki w artykule p. t.: „Coś nie coś o algebrze“ z niezwykłym talentem pop